



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 19 września 1948 r.

Nr 38 (199)

LOUIS ARAGON

Zdanow i my

17 sierpnia 1934 r., w Moskwie, w tej samej Sali Kolumnowej gdzie niedawno cały naród defilował przed szczytkami pośmiertnymi Andrzeja Aleksandrowicza Zdanowa, Maksym Gorki otwierał pierwszy kongres pisarzy radzieckich. Głos oddał jednemu z sekretarzy partii bolszewickiej, który miał pozdrowić zgromadzonych pisarzy. Człowiek ten był dla większości spośród nas, pisarzy zagranicznych zaproszonych na kongres, nieznanym. Powiedział, że jedynie zwycięstwa odniesione pod sztandarami Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina pozwoliły na zebranie takiego kongresu, który bez tych zwycięstw nie mógłby się odbyć. To prawda, że był to kongres zupełnie nowego typu i że stworzył on drogę, nie tylko dla pisarzy radzieckich, ale dla pisarzy innych krajów, drogę ku nowej formie pracy, porozumienia i wspólnej walki pisarzy.

Zdanow mówił: „W krajach radzieckich zmienił się aspekt wszystkich rzeczy. Najistotniej zmieniła się świadomość ludzi. U nas „ludzie szlachetnie urodzeni“ to dzisiaj bułowniczo socjalizm, robotnicy i kolchoźnicy... Teraz — mowa o świecie kapitalistycznym — odbywa się ogólne karłowacenie przedmiotów i talentów, autorów i bohaterów... „Szlachta“ tej mieszczańskiej literatury, która sprzedała swoje pióra kapitalowi są obecnie złodzieje, detektywi, prostytutki, ulicznicy... Pomiędzy tymi pisarzami mieszczańskimi, którzy z całym siłą chcą zamaskować, zgniliznę ustroju kapitalistycznego którzy udają, że nic się nie stało i przysięgają, że wszystko jest w porządku w państwie duńskim, odróżnia Zdanow inną kategorię pisarzy, którzy kierują się „pessimizmem, jako teorią i praktyką, w sztuce“. Jednym i drugim przeciwstawia tę małą mniejszość, która szuka rozwiązania, wiążąc swój los z proletariatem i jego rewolucyjną walką.

Mówiąc o literaturze radzieckiej Zdanow powiedział, że jest optymistyczna lecz „nie przez jakąś zoologiczną dyspozycję wewnętrzną, jest optymistyczna z swej istoty, jak była nią literatura klasy wznoszącej się“. I komentując słowa Stalina, który określił pisarza jako „inżyniera dusz ludzkich“, powiedział: „Co to oznacza? Jakie obowiązki taka nazwa narzuca? Oznacza to, przede wszystkim, że trzeba znać życie, aby oddać je wiernie w dziele sztuki, nie jak rzecz martwą, lub po prostu „rzeczywistość obiektywną“, lecz jako rzeczywistość w jej rozwoju rewolucyjnym“. Łączyć się to powinno z zadaniem przeobrażenia idei i wychowania pracujących w duchu socjalizmu, i to w literaturze i krytyce ZSRR stanowi metodę nazwaną realizmem socjalistycznym. Ta literatura nie boi się oskarżenia o tendencyjność; i każdy pisarz radziecki mógłby odpowiedzieć tym, którzy by się z tego powodu oburzali: tak, nasza literatura radziecka jest tendencyjna i my jesteśmy z tego dumni, ponieważ tendencja ta ma na celu uwolnienie ludzi pracy, całej ludzkości z jarzma niewoli kapitalistycznej“.

„Być inżynierem dusz — powiedział jeszcze Zdanow — to znaczy stać oboma nogami na gruncie życia realnego. A to

z kolei oznacza zerwanie z romantyzmem dawnego typu, romantyzmem, który opisywał życie nieistniejące i bohaterów nieistniejących i odwracał uwagę czytelnika od sprzeczności i trudności życia w kierunku świata nierealnego, świata utopii. Dla naszej literatury, stojącej oboma nogami na mocnym fundamencie materialistycznym, nie może istnieć romantyzm obcy (naszej rzeczywistości), romantyzm nowego typu, romantyzm rewolucyjny. Mówimy, że realizm socjalistyczny jest podstawową metodą literatury i krytyki sowieckiej, z czego wynika, że romantyzm rewolucyjny powinien wejść do twórczości literackiej jako część istotna, bowiem całe życie naszej Partii, całe życie klasy robotniczej opiera się na połączeniu codziennej pracy najsurowszej i najbardziej świadomej z podniosłym heroizmem i wielkimi perspektywami...“

I kiedy Zdanow dorzucił: „Literatura nasza powinna umieć pokazać naszych bohaterów, powinna umieć przeniknąć spojrzeniem naszą przyszłość. To nie będzie utopia, ponieważ nasza przyszłość przygotowana jest przez świadomą pracę, planową, już dzisiaj“ — przez umysły tych, którzy go słuchali przeszedł bardzo szczególny dreszcz, wywołany tym co ja nazwałbym chętnie romantyzmem marksistowskim, romantyzmem opartym na danych naukowych marksizmu, a nie na utopijnych mrzonkach, dreszcz, który towarzyszy przejściu od utopii do rzeczywistości naukowej, ten dreszcz, który odczuliśmy później, kiedy Gabriel Péri mówił o radosnym jutrze.

W Sali Kolumnowej, między dużymi, białymi filarami, tonącymi w świetle słonecznym i pod transparentami czerwonymi i białymi w środku portretów wielkich pisarzy przeszłości, Andrzej mówił o przyszłości. Mówił, że aby mieć prawo nazywać się inżynierem dusz ludzkich trzeba być mistrzem techniki literackiej i że nie zapominając, iż w tej dziedzinie jak w wielu innych proletariatu jest jedynym spadkobiercą wszystkiego co jest najlepsze w literaturze świata, mamy obowiązek gromadzić to dziedzictwo i studiować je na podstawie krytycznej. Aby mieć prawo nazywać się inżynierem dusz ludzkich, trzeba czynnie walczyć o kulturę języka o jakość dzieła; trzeba nieustanną pracą nad sobą samym zbroić się ideologicznie i nadrobić opóźnienie w rozwoju świadomości przez związek z ekonomią, „od czego sami pisarze nie są wolni“.

Słuchający go „Inżynierowie dusz ludzkich“, stu siedemdziesięciu siedmiu pisarzy zabierających głos w obradach, dwustu dwudziestu z tytułu doradców oraz ich czterdziestu gości zagranicznych łącznie ze mną, którzy przybyli z szesnastu krajów, widzieli w człowieku przemawiającym na trybunie rzecznika Partii, która w ciągu dziesięciu dni wstrząsnęła światem i od 17 lat oddana była jego przebudowie... Pisarze zagraniczni nie widzieli jeszcze w Andrzeju Aleksandrowiczu Zdanowie tego człowieka radzieckiego, który mając lat szesnaście wszedł już do walki rewolucyjnej, w dziewiętnastym zaś roku znalazł się w ogniu wojny w Partii Lenina i który



Andrzej Zdanow

mimo skromności, odegrał już taką wielką rolę w Partii, której w trzydziestym ósmym roku był jednym z sekretarzy. Nie mogli wiedzieć, jak to wdzierli robotnicy z Tuły i Gorkich, związani z nim wspólną walką o socjalizm, do jakiego stopnia człowiek ten głoszący idee będące wspólną własnością Partii, mówił osobiście, na podsta-

wie swego indywidualnego doświadczenia, z poczuciem aury i talentem, jakie daje takie doświadczenie.

Nagle i okropne wypadki zmusiły ten talent do ujawnienia się.

Louis Aragon

Fragmenty wspomnienia o A. A. Zdanowie zamieszczonego w 224 numerze „Les Lettres Françaises“.

Mieczysław Jastrun

NA WYDANIE DZIEŁ MICKIEWICZA

Gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze,
Gdzie kraj roztapia w lazurze lasy i skały nadbrzeżne,
Gdzie ledwie ślad wypalony jak komin dziś świadczy o Niemcach,
Gdzie świeża historia — już jak kopalne zwierzę
Zgrzyta kośćmi pod ostrzem oraczy, gdzie promień
Przewidujący nakreśla plany jutrzejszej budowy —
W srogiej ojczyźnie, o której pisałeś takimi słowami,
Że w ich obronnych granicach stała, choć była bez granic,
Być może nie ma już miejsca dla cienia obłoków i może
Nie trzeba jej wcale poezji. Być może jest prawdą, co kiedyś
Powiedziałeś, że przyszedł czas na poetów surowy
Budowania z kamieni, nie czas pisania.
Więc niech się tak stanie, gdy trzeba.
Niech za to mowa tutejszych ludzi, podobna do szumu
Lasów i fabryk, rozlewa się bardzo szeroko.
Po wsiach, gdzie były pioruny, niech uwieszone w amperach
Stół oświetlają z jesionu, gdy wieczór się zbierze rodzina.
Pytasz czy będą szczęśliwi? Nie ma szczęśliwych narodów
I nie ma wyspy, na której już nigdy krew ludzka nie spłynie,
Ale jest prawda wznoszenia rzeczy nowych i lepszych,
Choć muszą rodzić się w bólu, jak ludzie.
Widzisz, poezja jest dzisiaj jak rzeka, co zbiera dopływy.
Jej mowa, która służyła aniołom, nie maszynistom,
Uczy się znaków i krede kruszy na twardej tablicy.
Jest dzwonek na przerwę. Słuchajmy chóru okrzyków i śmiechu,
Po przerwie zaczniemy na nowo. I wtedy przez drzwi uchylone
Na krajobrazy przyszłości niech wejdzie pierwsze jej słowo.

1755. K. 1948

ANDRZEJ ŻDANOW

NA PIERWSZEJ LINII FRONTU IDEOLOGICZNEGO

(Wyjątki z przemówień)

...Literatura radziecka nie boi się oskarżeń o tendencyjność. Tak, literatura radziecka jest tendencyjna, ponieważ nie ma i być nie może w epoce walki klas literatury nie klasowej, nie tendencyjnej, literatury rzekomo apolitycznej.

Sądzę więc, że każdy z literatów radzieckich może każdemu mieszczańskiemu tępakowi, każdemu filistrowi, każdemu pisarzowi burżuazyjnemu, który zajknię się o tendencyjności naszej

literatury, powiedzieć co następuje: „Tak, nasza literatura radziecka jest tendencyjna i dumni jesteśmy z jej tendencyjności, ponieważ nasze tendencje sprowadzają się do tego, by wyzwolić ludzi pracy — wyzwolić całą ludzkość od niewolniczego jarzma kapitalizmu“.

Bądźcie więc aktywnymi organizatorami dzieła kształtowania świadomości ludzkiej w duchu socjalizmu.

(Przemówienie na pierwszym wszechzwiązkowym zjeździe literatów radzieckich. Sierpień 1934 r.)

...Aby sprostać zadaniu wychowania komunistycznego mas pracujących, zadaniu przewyciężenia pokutujących w świadomości ludzkiej pozostałości epoki kapitalistycznej, aby trafnie rozwiązywać praktyczne zagadnienia budownictwa socjalistycznego, aby być odpowiednio przygotowanym do walki z oblegającym nas kapitalizmem i jego agentami — nasze kadry winny być uzbrojone ideologicznie, tzn., że powinny znać prawa, rozwoju społecznego i walki politycznej...
...nierz już siły rozkładającego się kapitalizmu próbowały i raz jeszcze próbować będą powstrzymać nasz zwycięski pochód. Wiemy, że czekają nas jeszcze trudności. Zdajemy sobie sprawę z tego, jak zawile są stojące przed nami nowe zadania. Ale wiemy jednocześnie, jakie są warunki naszego ostatecznego zwycięstwa i znamy środki, przy pomocy których osiągniemy je.

(Przemówienie na 18 zjeździe WKP, (b), Marzec 1939 r.)

...Powołanie literatury polega nie tylko na tym, aby dotrzymać kroku potrzebom i żądaniom ludu — obowiązkiem literatury jest rozwijać smak ludu, podnosić poziom jego potrzeb i żądań, wzbogacać go o nowe idee, prowadzić cały lud naprzód.

...Stojąc na pierwszej linii frontu ideologicznego, zadania wasze są ogromne, są to zadania o znaczeniu międzynarodowym i to właśnie powinno zwiększać poczucie odpowiedzialności każdego literata radzieckiego wobec narodu, państwa, partii, budzić świadomość znaczenia pełnego obowiązku.

...Imperialiści, ich totumfacy w dziedzinie ideologii, ich literaci, ich politycy i dziennikarze wszelkimi sposobami starają się oczernić nasz kraj, przedstawiać go w niekorzystnym świetle, sta-

ją się oszkalować socjalizm. W tych warunkach zadaniem literatury radzieckiej jest nie tylko parować niecieciosi i napaści na naszą kulturę radziecką, na socjalizm, lecz także śmiało biczować samemu i atakować kulturę burżuazyjną, znajdującą się w stanie rozkładu i marazmu.

...Bolszewicy cenią wysoko literaturę, dobrze widzą jej historyczną misję i rolę w dziele cementowania moralnej i politycznej jednolitości ludu w dziele jego zjednoczenia i wychowania. Pragnieniem Centralnego Komitetu jest, by kultura duchowa rozkwitła u nas wszechstronnie, ponieważ w rozkwicie kultury widzimy jedno z głównych zadań socjalizmu.

(Z referatu o czasopiśmie „Zwiewda“ i „Leningrad“, Sierpień 1946 r.)

Kompozytorzy radzieccy mają dwa nadzwyczaj odpowiedzialne zadania. Głównie zadanie — to rozwijanie i doskonalenie muzyki radzieckiej. Drugie zadanie polega na obronie muzyki radzieckiej przed przenikaniem elementów rozkładu mieszczańskiego. Nie wolno nam zapominać, że ZSRR jest w tej chwili faktycznym opiekunem kultury muzycznej całej ludzkości, podobnie jak pod każdym innym względem jest on

obroncą cywilizacji i kultury ludzkości przed rozkładem burżuazyjnym i zgnilizną kulturalną.

...Nie tylko muzyczny, ale i polityczny słuch kompozytorów radzieckich powinien być bardzo czujny. Wasz kontakt z masami ludowymi powinien być bliższy niż kiedykolwiek.

(Przemówienie na zebraniu muzyków radzieckich w KC WKP (b), Styczeń 1938 r.)

...Światłe zwycięstwo socjalizmu, osiągnięte w Wielkiej Wojnie Narodowej, które stało się także światłym zwycięstwem marksizmu, stanęło imperialistom kością w gardle. Centrum walki z marksizmem przeniosło się do Ameryki i Anglii. Wszystkie siły obskurantyzmu i reakcji rzucone zostały do walki przeciwko marksizmowi.

...Któż, jeśli nie my — kraj zwycięskiego socjalizmu i jego filozofowie — winien stać na czele sił walczących przeciw cynicznej i podlej ideologii burżuazynej; któż, jak nie my — powinien zadać jej druzgocące ciosy!

Ze zgłiszcz i popiółów wojennych wyrosły państwa nowej demokracji, zrodził się narodo-wyzwolenczy ruch narodów kolonialnych. W życiu ludów socjalizm stał się sprawą bieżącą. Któż, jeśli nie my — kraj zwycięskiego socjalizmu i jego filozofowie — ma pomóc naszym przyjaciółom i braciom za granicą

oświetlić ich walkę o nowe społeczeństwo blaskiem naukowej świadomości socjalistycznej; któż, jeśli nie my — winien dać im ideologiczną broń marksizmu do rąk!

W kraju naszym kwitnie bujnie socjalistyczna gospodarka i kultura. Stały wzrost świadomości mas stawia coraz to większe zadania przed działaczami w dziedzinie ideologii. Trwa szeroka ofensywa przeciwko pozostałościom kapitalizmu w świadomości ludzkiej. Któż, jeśli nie nasi filozofowie — ma stanąć na czele tego frontu ideologicznego, zastosować marksistowską teorię poznania do wyciągania wniosków ogólnych z ogromnego doświadczenia budownictwa socjalistycznego i do rozwijania nowych zagadnień epoki socjalizmu!

(Przemówienie na dyskusji o książce G. F. Aleksandrowa: „Historia filozofii zachodnio-europejskiej“, Czerwiec 1947 r.)

STANISŁAW SZENIC

MAX PECHSTEIN

tych podobne. Poza tym malował i ok 1906 przyniósł zasadniczą zmianę. Pechstein poznaje Erika Heckela, Kirchnera i Schmid-Rottluffa, młodych malarzy drezdeńskich, z którymi wspólnie zakłada stowarzyszenie malarskie „De Brücke”. Wynajmują pusty sklep, na którymś z przedmieść drezdeńskich. Malarstwo jest dla nich teraz jedynym celem. Wzorami van Gogha i Muncha. Tak wyglądały początki ekspresjonizmu niemieckiego. Pierwszą wystawę urządzono w jakiejś sali fabrycznej. Publiczność nie potrafiła rozgryźć nowego kierunku, większość krytyk uważała ekspresjonistycznych malarzy po prostu za wariatów, wystawiających twory pomyłonej wyobraźni. Żaden z krytyków nie docenił śmiałości rysunku — jakgdyby nie kresk na papierze, lecz pociągnął dłużej w twardym materiale — oraz śmiałości zestawień kolorów, zawsze jednak szarmonizowanych. A przecież zaledwie w kilka lat potem obrazy tych pomyłonych artystów były umieszczane w galeriach. Już jesienią 1907 r. Pechstein uzyskuje stypendium Akademii Drezdeńskiej. Ten przywilej czyni go najdalszym oszczędności człowiekiem odbywającym podróż do Włoch i Francji. We Włoszech interesują go Giotto i Fra Angelico, mozaiki w Rawennie oraz w ogóle niki pozostałości starej kultury etruskiej. W Paryżu, gdzie spędza zimę, rzadko bywa w sie-



rys M. Rudnicki
Max Pechstein

Wielu malarzy europejskich pierwszego dziesiątka naszego wieku jak gdyby przeczuło zbliżający się okres gospodarczych i wojennych katastrof, okres przekształcenia stosunków społecznych, przemiany struktury gospodarczej i zmiany mapy świata. Mieszczanscy filistrzy siedzieli na pełnych trzosach, dumni w niezmienności ustalonego porządku rzeczy, w nieprzemijający dobrobyt i w niezachwiana się nabywcą swych talarów, gdy nienależni artyści, instyktownie przeczuwając nadchodzące zmiany, szukali w sztuce nowych dróg, aby wzruszyć zmurszałe sumienia, aby uchwycić nowo rodzące się warunki bytu. W ten sposób można z perspektywy ocenić twórczość szeregu wybitnych malarzy, której początki zbiegły się z początkiem dwudziestego wieku.

Do nich należy niewątpliwie znany malarz niemiecki, profesor Maks Pechstein, jeden z wybitniejszych uczestników kongresu intelektualistów we Wrocławiu. Urodził się w ostatnim dniu 1881 r., na jednym z przedmieść saskiego Zwickau. Ojciec jego, majster w fabryce tekstylnej, miał do wyżywienia sześcioro dzieci. Nie zawsze można było im zapewnić codzienne potrzeby, wcześniej musiały pracować, na wiecie, Maks, który już jako młody chłopak rysował co się dało i co się dało, został uczniem malarstwa. Zaraz po złożeniu egzaminu w szkole, wyjechał do pobliskiej stolicy Saksonii, do Drezna, gdzie nie zrażając się brakiem pieniędzy, zamienił pedzel malarza pokojowego na paletę malarską i w 1900 r. został uczniem Drezdeńskiej Szkoły Rzemiosł Artystycznych. Zaczął się okres największych ograniczeń, długie miesiące głodu, gdy ranna kawa z bułką były całodziennym posiłkiem. Jako czeladnik malarski opanował wiele dziedzin sztuki dekoracyjnej, dostarczał projektów na tapety, pudełka do papierosów, kalamarze, lampy, meble, kraty dekoracyjne i



Wyjazd na połów

pozostaje charakterystyczny dla całej jego twórczości. Nie maluje on kobiet pięknych w potocznym tego słowa znaczeniu, lecz kobiety tegie, jakby bryły, pełne zwierzęcego animalizmu i instynktu, bliskie pierwotnej natury. Krytycy po-

zostaje zatyłowany „W łódce” lub „Wyjazd na połów”.

W latach 1911 i 1913 Pechstein jedzie znowu do Włoch, tym razem nad morze. Tutaj pogłębia wycieczkę do słonecznej, pełnej włoskim słońcem stają się organami barw, ale ile w nich jest zawsze harmonii.

Rok 1914 pozwala spełnić najtajniejsze marzenia Pechsteina. Wraz z młodą żoną jedzie na wyspy południowe Felew, aby wśród tubylców z ich dziwnym wyczuciem piękna i wśród oszalałej przyrody podzwrotnikowej, tak jak Gauguin, zgłębić tajniki sztuki. Pobyt Pechsteina na wyspach morza południowych niespodziewanie skręca wybuch wojny. Jeszcze pod koniec 1914 r. Japończycy zajmują wyspy i internują Pechsteina. Przechodzi do Niemiec, wraca jesienią 1915 r. do Niemiec. Przez krótki czas bierze udział w walkach we Francji, po czym szczęśliwie zwolnienie z wojska pozwala mu od 1917 r. podjąć pracę malarską. Według szkiców wykańcza obrazy z wysp Felew, pełne egzotycznego prymitywizmu. Sława jego wzrasta. W 1922 r. zostaje członkiem Akademii Sztuki, i odbywa dalsze podróże do Włoch i Francji. W 1926 r. wykonuje witraże dla Międzynarodowego Urzędu Pracy w Genewie. Sztuka jego pogłębia się. Staje się spokojniejsza, pociągnięcia pędzla są mniej namydlone, obrazy jednak cechuje głębia, jakby zdolny uchwycić coś z kosmosu, ostre kolory i mocne cienie oddają wewnętrznie życie natury. Nawet najzagorzalsi przeciwnicy nie mogą Pechsteinowi odmówić umiejętności rysunku. Kilku kreskami potrafi stworzyć żywe postaci.

Z dojściem Hitlera do władzy Pechstein dostaje się na listę artystów zakazanych; sztukę jego uważa się za wynaturzoną. Nie wolno mu wystawiać ani sprzedawać obrazów. Pechstein zaszywa się na Pomorzu w Lebie. Tam powstaje wiele krajobrazów pomorskich, w obrazie „Las zalany słońcem” ujawnia się uspokojony ekspresjonizm Pechsteina. Lata mijają, Pechstein wita w Lebie oswojonego armię sowiecką. Maluje jeszcze obraz „Matki Boskiej do kościoła w Lebie (uważa go sam za jedno z lepszych swych dzieł) i wraca do Berlina, gdzie zostaje profesorem klasy malarskiej w Akademii Sztuk Pięknych. Człowiek o dziwnym roku niespotykanej prostoty, pobawiony wszelkiej przyzwoitości, uczy swych uczniów nie tylko malować, lecz stara się wzbudzić w nich miłość do stworzeń i natury.

Stanisław Szenic

ARTUR ADAM MIĘDZYRZECKI

STRONY PRZYDROŻNE

Jesteś punktem na strunie, lampą srebrnego skraju Apulijskim balkonem i dyszlem złotym od gwiazd Przychodzisz śpiewna — z ciebie strzęp melodii nazajutrz I ziemi smak na wargach i szelest porannych nazw.

Ogród świetlików już mijalem na wojnie nieraz Niósł mnie silnik pancerny przez wiorsty przydrożnych stron Pociski pękały jak w strofie Apollinaire'a Gdy salwy — mimozy ognia — wykwitwały nad front.

Teraz ciszej. Północą różnie szum chyboliwie I lampy schodów gasną w zaułkach zawilich brył Jesteś gniewem, na który wolno sypie igliwie Mrok zaczęty na wieży, w rzeźny rzucony ilt.

Sprawisz, nadmorski koń powieje stustruną grzywą Len i kaolin stałki przywożą na bliski ląd I nad prawdziwą bocian zaszybuje Niniwą I czujny rozkwicie wiersz araukarii i klon.

Może kiedyś świt wytrwa do smugi kroków późnych Do lutni swych baradów i do dzwoniących klechd — A taka prosta jest noc — mandolina gra w kuźni I jak płomienny instrument syczy czerwony miech.

Rozmowa z autorem »Dziwnej zabawy«

Rogera Vaillanda, autora czarnej książki KO nie zastałem w jego pokoju. Idąc za radą portiera przypatrzyłem się pilnie wszystkim „zagranicznym” przepluwającym przez hall hotelu „Bristol”. Wszystkie podejrzałem o Vaillanda typy mówią jak na złość po francusku.

— W końcu pytam czarnego, chudego i przystojnego pana, czy nie zna przypadkiem...?

— To właśnie ja. Służę chętnie, bo jako dziennikarz wiem, ile nieraz wysiłku potrzeba, aby zmusić literata do wynurzeń. Dla Klubu „Odrodzenia” jestem gotów opowiedzieć panu nawet mój życiorys... — Jestem synem architekta. W młodości — takiego małego architekta. Dość wcześnie pokłóciłem się z rodzicami. Było to następstwem pewnej wewnętrznej rewolty. Potem byłem „surrealistą” i to dość długo. Z kilkoma kolegami założyliśmy pismo. Oczywiście — nie było pieniędzy. Wyszyły cztery numery i skończyło się. Dziennikarstwa jednak się nie wyrzekłem. Pasjonowały mnie wielkie reportaże. Włóczyłem się po świecie; byłem w Abisynii w 1932 r., potem w Hiszpanii, przed walkami zastała mnie w Rumunii, gdzie pracowałem na rzecz propagandy francuskiej. Po powrocie do kraju nie byłem zmobilizowany i powołano mnie do wojska dopiero 1 czerwca 1940 roku. Byłem tylko w jednej bitwie z... Czechami.

Musieliśmy mieć dość niepewną minę, bo Vailland zaraz wyjaśnia:

— Niech to pana zbytnio nie dz-

panego i tam go skończę. Trzeba sprawę wyjaśnić. Przecież „Dziwna zabawa” to fragment, to cząsteczka obrazu Ruchu Oporu. Ruch Oporu to wielki obraz i obraz niejednoznaczny. Można by o tym napisać wiele książek. Członkowie Ruchu Oporu znajdowali się i pracowali w różnych warunkach materialnych. Komunistów nie mieli pieniędzy, klepaliby biedę. Warunki, w jakich walczyli, mogły być tematem drugiej książki. Ja natomiast opisuję życie grupy bogatszej, zasobnej i dla niej mój opis jest prawdziwy.

— Jak krytyka francuska przyjęła pańską książkę?

— O „Dziwnej zabawie” pisano stosunkowo dużo i była ona przedmiotem ostrej dyskusji.

Rozmowa schodzi na szersze tory zagadnień literackich. Vailland skarży się, że nie ma zupełnie przekładów współczesnej literatury polskiej. Mówi o nowych kierunkach. Fada słowo „egzystencjalizm”.

— Egzystencjalizm — mówi Vailland — nie jest prawdziwym kierunkiem literatury i sztuki francuskiej. To nie jest nawet szkoła. Niewielu z naszych pisarzy kroczy pod jego sztandarem. Ideologicznie — egzystencjalizm to charakterystyczny przykład rozkładu burżuazji francuskiej. Wszystko to jest rozgrywką polityczną. Np. Sartre po uwolnieniu próbował flirtować z komunistami, potem stanął przeciw nim. Teraz gdy walka stała się tak ostro, Sartre w trzech ostatnich numerach „Temps Moderne” atakuje zaciekle komunistów. Zresztą —



Roger Vailland

wi, ale fakt ten daje pojęcie o ówczesnym dowództwie francuskim. Czesi chcieli uciekać do Anglii, a Petain chciał oddać Czechom Niemcom. Kto tam wtedy wiedział o co chodził? W czasie okupacji byłem na południu Francji; brałem aktywny udział w Ruchu Oporu. Ze względu na tematykę książki pytam autora „Dziwnej zabawy” o rodzaj pracy w Ruchu Oporu.

— Prowadziłem różne akcje. Nasz Ruch Oporu obfitował w liczne rozgrywki polityczne. Pracowałem w oddziałach o charakterze lewicowym, komunistycznym. Zorganizowałem wywiadowczy oddział wojskowy, który poniósł od Niemców ogromne straty. Z wielkiej grupy zostało nas trzech. Walka trwała aż do uwolnienia. Byłem wtedy pod Lyonem.

Z koleji przechodzimy do książki, do „Dziwnej zabawy”.

— Jest to moja pierwsza książka. Zaczęłem pisać w lipcu 1945 roku, kiedy nas trzech — jak panu wspominałem — pozostało przy życiu. „Dziwna zabawa” to wskrzeszenie wspomnień. Wszystko jest bardzo autentyczne, wszystko przeżyłem sam. Naturalnie, trzeba uwzględnić transpozycję literacką.

— Mówiąc to, ma pan na myśli Marata?

— Oczywiście — Marat jest mi najbliższy, ale nie znaczny to, żeby go identyfikować ze sobą. Ma więcej ze mnie... tak można by to określić. Zresztą — wie pan dobrze, że nieraz na jedną postać składa się wiele postaci. Również strona topograficzna narracji jest prawdziwa. Nie zmyślałem miejscowości i opowiadałem ma charakter dokumentu pewnej grupy Ruchu Oporu.

Następnie rozmowa toczy się wokół zagadnienia moralności i niemoralności „Dziwnej zabawy”. Opowiadając Vaillandowi o bardzo sprzecznych sądach, jakie wywołała jego książka wśród czytelników polskich, stawiających ostre zarzuty postawie moralnej przedstawionych przez autora reprezentantów Ruchu Oporu. Vailland jest podniecony, zapala któregoś tam z rzędu papierosa, żywo gestykuluje.

— Właśnie piszę artykuł o mojej postawie moralnej. Jadę do Zako-

trzeba przyznać — mimo małej oryginalności tematów Sartre'a i walkowania zagadnień przedwojennych — on sam jest wielką klasą pisarską na złych drogach ideologicznych.

Nie można z autorem „Dziwnej zabawy” nie poruszyć sprawy nowych form pisarskich. Powieść jego ma jasne tendencje awangardowe.

— Poruszył pan sprawę wielkiej wagi — mówi Vailland — Stoimy w obliczu nowych czasów, w których nowe formy socjalne stworzą formy literatury.

— Czyżby pan myślał o przekształcaniu się form powieściowych?

— Nie jestem przekonany, aby do tego rodzaju literackiego należała przyszłość. Powieść jest bardzo w zgodzie z aktualnością. Było to dobre dla wieku dziewiętnastego. Pojawi się nowa forma, coś pośredniego pomiędzy powieścią a reportażem i to pod mocnym wpływem techniki kinematograficznej...

Na moment wracamy do tematu rozpoczynającego rozmowę. Pytam o obecne prace, zainteresowania literackie, udział w dziennikarskiej.

— Jestem współpracownikiem tygodnika „Action”. A jeśli chodzi o prace literackie, skończyłem teraz nową powieść, która wyjdzie z końcem tego miesiąca. Tytuł jej „Fałszywy krok”. Nie jest to powieść ideologiczna, lecz historia życia dwójki ludzi. Skusiła mnie także praca dla sceny. Przygotuję sztukę; będzie grana w Paryżu... oczywiście, kiedy ją skończę!

Roger Vailland był członkiem delegacji francuskiej na kongres wrocławski.

Kongres intelektualistów — mówi — da efekt chociażby przez wagę osób, które brały w nim udział i dały wyraz swemu stanowisku.

Czas kończyć. Mego rozmówcy prawie nie widać za zasłoną dymu. Zresztą przyszedł Hervé i czeka na Vaillanda...

— Ostatnie nieodwołalne pytanie: Warszawa?

Roger Vailland uśmiecha się szerzej:

— Warszawa to jest p r a c a i praca...

J. S.

TYGODNIK BIBLIOGRAFICZNY urzędowy wykaz druków

wydanych w Rzeczypospolitej Polskiej i poloników zagranicznych, wychodzących regularnie od stycznia b. r. co tydzień nakładem Biblioteki Narodowej.

Podaje w układzie działowym spis nowości wydawniczych

Ułatwia nabywanie książek

Jest niezbędny w każdej bibliotece i w ręku wszystkich interesujących się ruchem wydawniczym.

Prenumerata roczna 1600.— wyłącznie na konto czekowe PKO-1-7119.

RABATU KSIĘGARSKIEGO NIE UDZIELA SIĘ

Administracja: Biblioteka Narodowa, Warszawa, ul. Rakowiecka 6, telefon 405-43.



Złota chusta

IRENA SROWRONKÓWNA

Trzy lata książki dla dzieci i młodzieży

Systematycznie podawane przez Adama Bromberga dane statystyczne, dotyczące naszego rynku wydawniczego, są w obecnym okresie, jak słusznie mówi autor, jedną busolą, wskazującą na rolę poszczególnych grup wydawców, i na ich tendencje rozwojowe. Sądzę, iż warto opublikować zebrane obserwacje dotyczące naszego rynku wydawniczego w zakresie książek dla dzieci i młodzieży. Materiałów dostarczyła mi bibliografia, opracowana przez Referat Literatury dla Dzieci i Młodzieży w Departamencie Twórczości Artystycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Bibliografia na pewno ma jeszcze luki, prawdopodobnie jednak jest to materiał najbardziej dokładny, jaki w obecnym warunkach można było uzyskać. W bibliografii uwzględnione są wszystkie książki niezależnie od objętości i formatu, zarówno oryginalne polskie jak tłumaczenia dla dzieci i młodzieży do lat piętnastu. Nie włączono tu książek „niezamierzonych” dla młodzieży, tzn. takich, które pisane były dla dorosłych, a które młodzież chętnie czyta, jak Trylogia i „Krzyżacy” Sienkiewicza, książki Londona, Curwooda, Fiedlera i i. Nie włączono również lektury szkolnej (nowele Sienkiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej i i.) z wyjątkiem tych wypadków, gdy sposób wydania, ilustracje, układ graficzny, nadawały książce charakter lektury rozrywkowej dla dzieci, a nie pomocy szkolnej (np. „Dziad i baba” Kraszewskiego z ilustracjami Szancera).

Dane statystyczne, podane w tym artykule, obejmują lata 1945, 1946, 1947. Liczbę dotyczących roku 1948 nie podaję. Sezon największego ruchu wydawniczego (okres gwiazdowy), jest dopiero przed nami, do bibliografii produkcja ta wejdzie w pierwszych miesiącach 1949 roku, sądzę więc, że nie wcześniej jak w kwietniu przyszłego roku będzie

I. Spółdzielnie wydawnicze	16	12,2%
II. Instytucje państwowe	3	2,3%
III. Organizacje społeczne, związki i stowarzyszenia	15	11,45%
IIIa Stowarzyszenia i organizacje	11	8,4%
IV. Firmy prywatne i anonimowe	86	65,65%
Razem	131	100,00%

Grupy te zmieniają swą liczebność z miesiąca na miesiąc. Przewodnik Bibliograficzny w każdym nieledwie numerze podaje nazwy nowych wydawnictw, podczas gdy inne na dłuższy czas lub krótszy okres zawieszają swą działalność. Przy tym ustawicznym ruchu li-

można mówić o bieżącym roku wydawniczym. Podawanie danych fragmentarycznych w zestawieniu z „zamkniętymi” latami 1945 — 47 mogłoby prowadzić do niesłusznych wniosków.

W latach 1945 — 47 wydano ogółem 1096 książek dla dzieci i młodzieży. W podziale na lata wygląda to jak następuje:

	1945	1946	1947	Razem
książek	131	422	543	1096

Książki te wydało 131 wydawców.

Wśród tych 131 wydawców wyróżnić można 51, których działalność w zakresie wydawnictwa dla dzieci i młodzieży ma charakter bardziej stały. Jako miernik przyjęłam wydanie w omawianym okresie przynajmniej 5 książek dla dzieci (maksimum osiągnęła I-ma Biblos, wydając 121 książeczek z bajkami i powiastkami dla małych dzieci). Wśród tych 51 wydawców znajduje się 9 spółdzielni wydawniczych, jedna instytucja wydawnicza państwowa (PZWS) — jedna organizacja społeczna (ZHP), 6 firm wydawniczych religijnych oraz 34 firmy prywatne, wśród których obok zasłużonych firm jak Gebethner i Wolff, Mortkiewicz, „Książka” „Atlas” i i. sąsiadują producenci lichych broszur. Te firmy wydawnicze wydały łącznie 955 książek. Wśród pozostałych 141 książek mamy 23 wydane bez podania wydawcy i 118 książek wydanych przez 81 wydawców. Tak więc w tej ostatniej grupie na jednego wydawcę przypada na przestrzeni trzech lat niespełna 1 i pół książki.

Poniżej zamieszczona tabela podaje liczebność poszczególnych grup wydawców. Dla utrzymania jednolitości ogłaszanych materiałów zachowuje zasadę podziału przyjętą przez Bromberga.

	liczba	% ogólnej liczby wyd.
I. Spółdzielnie wydawnicze	16	12,2%
II. Instytucje państwowe	3	2,3%
III. Organizacje społeczne, związki i stowarzyszenia	15	11,45%
IIIa Stowarzyszenia i organizacje	11	8,4%
IV. Firmy prywatne i anonimowe	86	65,65%
Razem	131	100,00%

liczba wydawców w omawianym okresie stale wzrastała.

Ilość książek wydanych przez poszczególne grupy wydawców oraz procentowy ich udział w ogólnej produkcji książek dla dzieci i młodzieży uaooczna poniższa tabela:

Rok	Spół wyd.	%	Inst. państw.	%	Org. społ.	%	Org. relig.	%	Wyd. prywatne	%	Razem
1945	23	17,6	2	1,5	5	3,8	3	2,3	98	74,8	131
1946	88	20,9	13	3,1	13	3,1	12	2,8	296	70,1	422
1947	145	26,7	11	2	19	3,5	37	6,8	331	61	543
Razem	256	23,4	26	2,4	37	3,4	52	4,7	7,5	66,1	1096

Powojenna produkcja książek dla dzieci i młodzieży szybko osiągnęła pod względem ilości tytułów poziom produkcji z okresu przedwojennego, a nawet go przewyższyła. Nie mamy niestety, danych dotyczących lat następujących bezpośrednio po pierwszej wojnie światowej. W latach 1932 — 1937, jak podaje Rocznik Literacki odpowiednio liczby roczne wyglądają następująco: 1932 — 330; 1933 — 210; 1934 — brak danych; 1935 — 321; 1936 — 236. 1937 — 221.

Powojenną produkcję wydawniczą dla dzieci i młodzieży rozpoczęły firmy prywatne. Ich udział w r. 1945 wynosi prawie 75 proc. ogólnej produkcji.

Ilość wydawców prywatnych wzrasta w ciągu trzech lat trzykrotnie, wzrasta również ilość wydawanych przez nich książek, zapewniając pod względem ilościowym pierwsze miejsce tej grupie wydawców przez cały czas omawianego trzylecia. Jednocześnie jednak procentowy udział wydawców prywatnych w ogólnej ilości wydawanych książek zwolna, lecz wyraźnie maleje. Dzieje się tak na skutek wzrostu działalności spółdzielni wydawniczych oraz — w znacznie mniejszym stopniu — stowarzyszeń religijnych.

Spśród spółdzielni cztery głównie rozwijają swą działalność: „Czytelnik”, „Książka”, „Wiedza” i „Nasza Księgarnia” (łącznie 178 książek w ciągu trzech lat). Szczególnie ta ostatnia, odezwała się dopiero w r. 1946, rzuciła od razu na rynek 17, a w r. 1947 — 44 książki, korzystając ze swych długoletnich doświadczeń i praw wydawniczych. Tak więc, aczkolwiek ilość spółdzielni w latach 1946 i 47 była taka sama, jesteśmy świadkami ich

zdecydowanego i coraz silniejszego wpływu na rynek wydawniczy.

Podane liczby potwierdzają zjawisko omawiane już przez Bromberga („Książka” Nr. 28, r. 1948) w stosunku do całego rynku wydawniczego i tam widzieliśmy zwiększające się współzależności produkcji, z tą różnicą, że w zakresie innych dziedzin wielką rolę odgrywają wydawnictwa państwowe, których udział w produkcji literatury pięknej dla dzieci i młodzieży jest nikły.

Są poza tym inne jeszcze różnice. Pisząc o stale zmniejszającym się odsetku wydawnictw firm prywatnych podkreślał Bromberg fakt (w pewien sposób niwelujący to zjawisko), mianowicie fakt wydawania przez firmy prywatne książek o znacznej objętości, dzięki czemu pod względem ogólnej objętości książek sektor prywatny zachowuje swe pierwszeństwo.

Inaczej jest w zakresie literatury dla dzieci. Małe książki formatu 16^o, str. 16) kilkunastostopniowe książeczki z obrazkami są produktem masowo wytwarzanym przez wydawców prywatnych. Istnieje wiele firm, których nieledwie cała działalność wydawnicza (a czasem naprawdę cała) ogranicza się do książek tego typu, że dla przykładu wymienię: „Biblos”, „Dzieło”, „Interprint”, „Kolumna”, „Książnica”, „Odrodzenie”, „Poligrafika”, „Wydawnictwo Książek Popularnych”. Niżej zamieszczona tabela podaje ilość książek o najmniejszej objętości (broszurki i książki obrazkowe poniżej 32 stron) w poszczególnych grupach wydawców oraz procent tych książek w stosunku do całej produkcji danej grupy:

	I grupa	II grupa	III grupa	IIIa grupa	IV grupa	Razem
Ilość broszur	75	10	9	17	436	547
% w stos. do prod. danej grupy	25,4%	38,3%	24,3%	32,7%	60,1%	49,8%

Drugie zestawienie ilustruje procentowy udział każdej grupy wydawców w produkcji drobnych książeczek:

	I grupa	II grupa	III grupa	IIIa grupa	IV grupa	Razem
Ilość broszur	75	10	9	17	436	547
% w stos. do całej produkcji brosz.	13,7%	1,8%	1,6%	3,1%	79,8%	100%

Na 547 drobnych broszur i książeczek — 436, czyli 80 proc. wydają prywatni wydawcy. W skład ogólnej ilości wydawnictw tego typu wchodzi nieledwie broszury popularno-naukowe (ok. 20), „komedijki” i „sztuczki” (29), reszta — to bajki, wiersze i opowiadania dla małych dzieci. Książka dla małych dzieci, łatwiejsza do wyprodukowania, jest przytem artykułem poszukiwanym i handlowo korzystnym. Jednocześnie jest to produkcja najmniej wartościowa. Jak obliczyła dr Arnoldowa („Ruch Pedagogiczny” Nr. 4, 1947) na 260 książek dla młodszych dzieci tylko 60, czyli ok. 23 proc. można było za dobre lub poprawne. Reszta — powtarzam za autorką artykułu — „grzeszy brakiem talentu, niedbalostką formy i języka, pomysłami niedopuszczalnymi ze względu na pedagogiczność”. Gdyby normy przyjęte przez nią zastosować do wydawnictw wyłącznie broszurowych, procent książek dopuszczalnych byłby zapewne jeszcze niższy.

Sprawa nie jest błaha, gdyż mała broszurka lub obrazkowa książeczka są najtańszymi wydawnictwami dla dzieci (cena broszurki 16-stronicowej ok. 20 zł., książek obrazkowych — od 30 zł.). Te właśnie wydawnictwa docierają do szerokiego mas dzieci, dzięki przystępnej cenie i kolportażowi (kupić je można w mydlarni, w sklepie z zabawkami, w sklepie galanterijnym itd.). Nakład ich waha się zazwyczaj w granicach 5—10 tysięcy. Jeżeli przyjmujemy nawet minimalny nakład 5 tys., to ilość wydanych w ciągu trzylecia broszurek i książeczek osiągnęłaby imponującą liczbę ok. trzech milionów. Wydaje się, że jedną z najpilniejszych spraw w zakresie literatury dla dzieci jest podniesienie poziomu tego typu wydawnictw.

Książka mała objętościowo (pośrodku — książka dla młodszych dzieci) to tylko jeden z działów literatury dla dzieci i młodzieży. Poniżej zamieszczona tabela obrazuje produkcję wydawniczą w innych grupach książek:

	1945	1946	1947	Razem				
	ilość	%	ilość	%	ilość	%	ilość	%
Książki dla młodszych dzieci	91	69,4	248	58,8	293	54	632	57,7
Powieści	27	20,6	121	28,7	170	31,3	318	2,9
Popul. nauk.	3	2,3	19	4,5	18	3,3	40	3,7
Zyciorysy	1	0,8	3	0,7	5	0,9	9	0,8
Kalend. inform.	3	2,3	1	0,2	1	0,2	5	0,5
Organiz. (harc., spóldz.)	2	1,5	6	1,4	15	2,7	23	2
Teatral. i okol. czn.	3	2,3	22	5,2	32	5,9	57	5,2
Religijne	—	—	1	0,2	7	1,3	8	0,7
Poezje	1	0,8	1	0,2	2	0,4	4	0,4
Razem	131	100,0	422	100,0	543	100,0	1096	100,0

Tabelę tę warto omówić dokładniej, opracowując działy bardziej szczegółowo. Być może stanie się to przedmiotem specjalnego artykułu, teraz ograniczę się do stwierdzenia najbardziej uderzających faktów. Przede wszystkim rzuca się w oczy duża ilość wydawnictw dla małych dzieci. Bajki, baśnie, wiersze i opowiadania, pomimo stałego obniżania się procentowego udziału tego typu wydawnictw w ogólnej ilości książek, wypełniają w roku 1947 — 53 proc. ogólnej produkcji.

Zwraca uwagę mała ilość książek popularno-naukowych i zyciorysów. Niezmiernie zaniedbaną dziedziną jest dział poezji dla starszych dzieci.

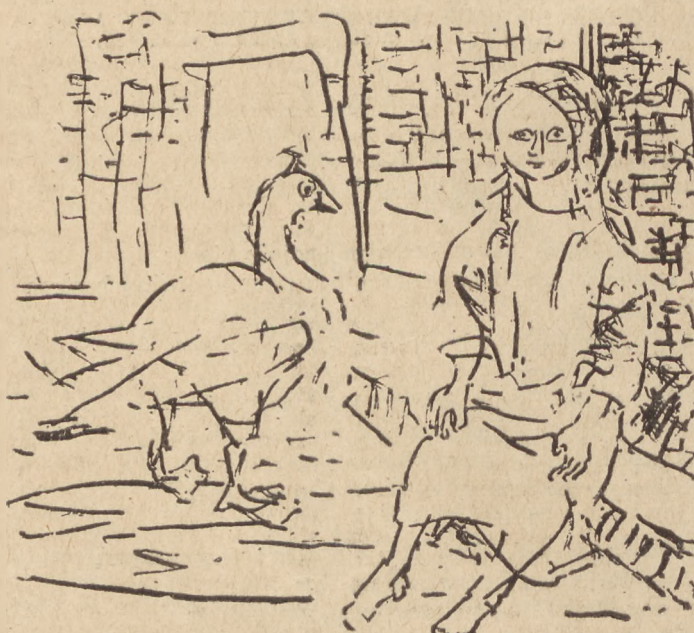
Wyłącznie liczbowe zestawienie nie daje należytego obrazu produkcji literackiej dla dzieci. Dopiero jakościowa analiza wykazuje, że rynek jest tylko pozornie nasycony, zwłaszcza w niektórych dziedzinach np. o dzieła sztuk teatralnych

dla dzieci pisał w 1947 r. Zdzisław Kwieciński: „Repertuar teatru dziecięcego jest bogaty, bo zawiera 23 wydawnictwa, ale cóż z tego, gdy z czystym sumieniem można polecić naukowielstwu tylko jedną sztukę”. („Powyjenny repertuar dla teatrów”).

Po zapoznaniu się z treścią książek widzimy, że obok bezsprzecznie cennych pozycji, znajdują się także książki poniżej właściwego poziomu. Ten stan rzeczy związany jest w znacznej mierze z dużą ilością wydawnictw biorących dorywczo udział w wydawaniu książek dla dzieci oraz brakiem odpowiedniego przygotowania do pracy u niektórych wydawców.

W interesie literatury dla dzieci i młodzieży byłoby pewne ustabilizowanie grupy wydawców posiadających odpowiednie kwalifikacje, którzy będą prowadzić w tej dziedzinie planową i odpowiedzialną pracę.

Irena Skowronkówna



Tadeusz Kulisiewicz — Marysia od Łukaszczyka

SZTUKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

O PROGRAMIE AUDYCYJ POLSKIEGO RADIA DLA DZIECI

Redakcja Audycji Dziecięcych Polskiego Radia zwraca się do pisarzy, naukowców i wychowawców z prośbą o czynną współpracę w trudnym zadaniu budowania dziecięcego programu radiowego.

Specyficzne wymagania radia (konieczność transponowania wartości treściovych i emocjonalnych utworu w dziedzinie słuchu) oraz charakter umysłowości słuchacza, nie powinny odstraszać mogących oddać dorobek swej wiedzy, czy talentu — dziecku. O nie bowiem chodzi: o dziecko, które jest ojczyzną jutra.

Odezwać się jednak mamy do dziecka niezwykłego, jest to bowiem dziecko naszych czasów. Dane mu było przeżyć i zachować w pamięci sprawy nie na dziecięcą miarę. Oglądał ono grozę upadku człowieczeństwa w czynach okupanta i niespotykane w dziejach bohaterstwo swoich. Zetknęło się i styka z demoralizacją wojenną i z powojenną, moralną, altruistyczną i godną postawą społecznego człowieka.

Dziecko zna to najwyższe i to najniższe, na co stać człowieka. Ostatnie lata sprawiły, że człowiek dopuścił dziecko do udziału w niepokojącej ludzkiej sprawie. „Res humana” ukazała dziecku swe srogie oblicze, przyszedł czas, by „rzecz ludzka” dopuściła dziecko do swych humanitarnych zdobyczy: nauki, sztuki i piękni.

Nie możemy odezwać się do dziecka sztucznym tonem, przeznaczonym dla nieistniejących „milusińskich”. Pamiętać musimy, iż słucha nas dziecko chłopskie i robotnicze, któremu twarde życie dało trzeźwy sąd człowieka dorosłego. Dziecko czeka na prawdziwe i proste słowo uczonego, społecznika, wychowawcy i artysty.

Redakcja audycji dziecięcych posiada bardzo mało materiału o treści i formie godnej dziecka, wychowanego przez jego ojczyznę ludową. Za pośrednictwem kolumny „Odrodzenia” zwraca się więc do wszystkich tych, którzy taki materiał posiadają, aby chcieli uprzystępnić go dziecku — za pomocą Polskiego Radia. Czekają na to dzieci robotnicze i chłopskie zgromadzone przy głośnikach radiowych w całej Polsce.

Ciągle jeszcze w pracy radiowej pozostaje wiele braków, którym starajemy się zaradzić, radiofonizując dostępne dla dziecka fragmenty naszej i obcej literatury.

W naszej pracy będzie nam wielce pomocna rzeczowa krytyka, dotycząca programu, jak i jego wykonania, o którą prosimy, korzystając z gościnności kolumny „Sztuka dla dzieci i młodzieży”.

Redakcja Audycji Dziecięcych Polskiego Radia

J. Januszewska

TEATR CZY TEATRZYK

oraz inne lamigłównki z dziedziny teatru dla dzieci

Czytelniku, nie obawiaj się! Wstępu nie będzie. Nawet o tym, że teatr ma wychować nowego człowieka, ani o rzeczy równie oczywistej, że istnienie specjalnego teatru dla dzieci (na wysokim poziomie artystycznym) jest koniecznością...

Powtórzę Ci tylko pytania, jakie mi zadali ludzie, dla których sprawa teatru dla dzieci jest celem życia. Rozwiąż te lamigłównki, ręczę, iż nie pozostajesz czasu. A więc:

— Znasz zapewne przedwojenny teatr dla dzieci: „Redutę” i „Jaskółkę” i obficie: „Teatr Dzieci Warszawy”, „Wesoła Gromadkę” (Kraków), „Nasz Teatr” (Lublin). Czy to są teatry czy też teatrzyki?

Pomimo to, wśród najlepszych znawców sceny pokutuje dotychczas przekonanie, że lichej aktor, odrzucony przez sceny dla dorosłych, może śmiało pretendować do naczelnych ról w „teatrzyku” dla dzieci.

— Czy może istnieć normalny, dramatyczny teatr, w którym gra aktor zawodowy: bez stałej sceny, bez widowni, bez garderob, magazynu, malarskiej, przynajmniej stolarskiej i malarskiej. A jednak wiele osób uważa, iż teatr dla dzieci może wieść tułaczy żywot, przenosząc się z miasta do miasta i z sali do sali, zabierając potrzebne rekwizyty w podręcznym naseserze...

— Czy wystawiłby w teatrze dla dzieci sztuki: fantastyczne, ludowe, lub realistyczne, oparte na tle pełnego rozmachu współczesnego życia? Takie sztuki przykuwają wprawdzie uwagę dziecka, ale wymagają dużej obsady i ciągłych zmian sytuacji. Więc może wybieremy raczej sztuki kameralne np. typu „on, ona i kochanek”, albo też werbalne, oparte na monologach i dialogach, które są o wiele łatwiejsze do wystawienia?

— A teraz policz, bądź łaskaw, Czytelniku, ile osób występowało w sztukach: „Dr Dolittle i jego zwierzęta”, „Pinokio”, „Laleczka z saskiej porcelany”, „Niebieski ptak” i i.

Czy przynasz, iż zespół musi liczyć co najmniej dwadzieścia osób, nawet jeśli jeden aktor zdoła zagrać dwie lub więcej ról w jednym widowisku, przebijając się kilka razy w ciągu jednego wieczoru?

— Czy można dziecku pokazać sztukę w kilku aktach, na tle jednej i tej samej dekoracji, czy też dekoracje powinny być raczej zmienne?

Tomasz Stefański

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Dobre książki dla dzieci i młodzieży

M. Lovrak. Dzieci wielkiej wsi. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 104.

J. Ruskowska. Chraboszczowe wakacje. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 64.

Irena Jurgielewiczowa. Historia o czterech pstróczkach. Ilustrował S. Hiszpański. Warszawa, „Wiedza”, 1948; str. 169 i 3 nł.

St. Szuchowa. Staszek kupuje nowe buty. Warszawa, „Światowid”, 1948; str. 30 + 2 nł.

Eugeniusz Ryss. Lenka szuka ojca. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 171 i 5 nł.

Hugh Lofting. Opera doktora Dolittle. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 171 i 5 nł.

Hugh Lofting. Opera doktora Dolittle. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 240 i 4 nł.

Alicja Dryszkiewicz. Wędrowki po zwierzyńcu. Ilustrował Henryk Tomaszewski. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 24.

Janusz Korczak. Król Maciuś Pierwszy. Powieść. Warszawa, J. Mortkiewicz, 1948; str. 320.

Maria Dąbrowska. Przyjaźń. Opowiadania. Wydanie ósme. Warszawa, J. Mortkiewicz, 1948; str. 63 i 1 nł.

STOPNIE NIENAWIŚCI

(Dokończenie ze strony drugiej)

— A nie wierzył pan Niemcom. Henryk ciągnął dalej:

— Cóż, nie muszę cię zapewniać, że więcej już nie napisali. Wiesz co to była Treblinka. Dopiero pod koniec 1945 roku, przeczytałem w New-Yorskim „Aufbau” kilka z bardzo licznych nekrologów, z których trzy poświęcone były rodzinie Fritza, zlikwidowanej na wschodzie. Ale do tego jeszcze powrócę.

W sierpniu 1943 roku nadeszły wasze ostatnie listy: od twojego ojca, ojca Tusi, od niej samej i od Adeli. Pisałiście wszyscy, ze wtychczas. Pomnie milczaniem to, co wtedy przeżywałem, bo i po co mówić? Oczy świata były niewidzące, a uszy gołe. Gdybym ci powiedział, kto tłumil mój głos i głos podobnych mnie — nie uwierzyłbyś.

Zebrałem wieczerom moją rodzinę, zapaliłem świecę i odmówiłem modlitwę za umarłych. Wiodłem nieistotny spór z Bogiem i wymieniając imiona zamordowanych wymieniałem i swoje imię, co jak ci wiadomo jest zakazane przepisami rytuału. Wiesz, że nie wierzę w symbole, za stary jestem na to, ale są sytuacje, gdy symbole stają się kluczem do odmykania najskrytszych pragnień i chęci. Czy ta moja symboliczna śmierć przywróciła mi spokój? Wydaje mi się, że tak.

Napisałem do was wszystkich na dawne adresy i listy wróciły. Dopiero w maju 1945, po wojnie już, otrzymałem twój list przesłany mi z Luxemburgu przez nieznanego M. Sąd wiedziałem, że żyjesz.

Z Szwajcarii pojechałem do Palestyny. Przynasz, że nie bardzo miałem po co wracać do Polski. Mój majątek został rozgrabiony przez Niemców, a wasz model państwowy, co ci powie, może mi się podobać lub nie, ale jacyś się w nim nie mieścił. To, o czym mówię, to jakieś czynniki irracjonalne. Muszę mieć większe możliwości ekspansji. Nie wiem, czy wiesz jak mnie określali przed wojną: mówiono, że prowadzę rozległe interesy, nie aby się bogacić — lecz, aby móc podróżować i mieć satysfakcję z największej ilości cedul, frachtów, wagonów przetranszowanych na moje bocznicę kolejowe. Widzę, że się uśmiechasz sceptycznie, ale nie powinien się śmiać, ponieważ jesteś poetą: znam kupców, którzy są poetami swego zawodu, marzycielami swego powołania, reżyserami swego przedsiębiorstwa. Skoro mowa o sprawach z dziedziny sztuki, powiem ci, że się zaliczam do rzędu Wokulskich i czuję się niejako osobiście dotknięty, gdy wasi krytycy usiłują zderzać teno człowieka do rzędu wyrobników, narastającego kiedyś, a mionego już dawno okresu rozwoju naszego kraju. Możliwe, że w mojej osobie zachował się szczerzy człowiek tamtego czasu. I wiesz jeszcze co? Wtedy, gdy mi Fritz M., w swoim mieszkaniu, podczas tej pamiętnej rozmowy rzucił to słowo: Rübergeschichten, a ja czytałem tytuły książek nagromadzonych w jego bibliotece, pomyślałem, że powinienem cisnąć w niego tym czerwono-oprawnym tomem Heinego. Pieczęć Heine tak pasowała do jego umysłowości, do jego rozumu i serca, jak „Mein Kampf” do ulubionego księgozbioru jakiegoś radykała, lub smakosza. Chyba, że radykał odprzechowywał wszystko, co reprezentuje wroga, ale to było zbyt płytkie. Gdyby Ernst B., i Fritz M., tak znali Niemców, jak ich znał Heine sto lat temu, nie operowałyby pojęciem „Ostjude” i nie wierzyliby Niemcom. Jeśli postępowali inaczej, to czemu to robili?

Przerwał Henrykowi:

Wydaje mi się, że Heine w bibliotece Fritza M. był właśnie zmateralizowaną wrogą myślą, wrogą Fritziowi i Ernstowi i tym wszystkim, którzy w upadku Niemiec widzieli własny upadek. Heine podważał ich wiarę, musieli znać zamysł swego przeciwnika, zwłaszcza, że upadek ten był tak jaszkrawy, odbył się przecież na oczach całego świata, a towarzyszyły mu tak straszliwe okoliczności, że zdawało się, że nikt już Niemców nie będzie bronił. Henryk się zamyslił, po chwili powiedział:

Powiedz mi, gdybyś mnie chciał określić, no powiedz mi umieszczyć w jakich kategoriach społecznych, klasowych — do jakiej klasy zaliczylibyś mnie na przykład.

Nie wiedziałem do czego zmierza i zapytałem:

— Teraz, czy przed wojną?

Henryk uśmiechnął się.

— Przed wojną to było łatwe, znacznie łatwiejsze niż teraz. Nie, mnie chodzi o moją obecną pozycję.

— No, teraz zaliczylibyś cię chyba do mieszczaństwa.

— Wiedziałem, że to tak okiełśnisz. Zaliczasz mnie zatem do kategorii ludzi ślepych.

— Jak to ślepych?

— Zaraz ci to wytłumaczę, chociaż wydaje mi się, że mam prawo wyłączyć się spośród tej kategorii ludzi, których podciągamy pod miano mieszczaństwa. Zagadnienie jest inne. Nie narodowościowe, nawet nie geograficzne, czy ja wiem może moralne, może polityczne — pomyślał chwilę — raczej moralne. Wspomniałem ci o tym new-yorskim tygodniku „Aufbau”, znasz ten tygodnik?

Przytaknąłem mu milcząco.

Pamiętasz, że do kolegium redakcyjnego należał Albert Einstein, Tomasz Mann, Lion Feuchtwanger, bezprzebieżnie znakomitości, które odgrywały swego czasu kolosalną rolę w Niemczech —

spozostregł, że na dźwięk tego „kolosalną” uśmiechnął się — i teraz ja odgrywać tam gdzie przebywają. Redakcją tego „Aufbau” raczej firmują, rzadko zabierają głos. Pismo informuje o Ameryce, ale dla mnie jest ono w pewnej mierze miarodajne w sprawach niemieckich, mianowicie w tym zakresie, który dotyczy Żydów, emigrantów niemieckich, powiedzmy krótko mieszczaństwa żydowskiego i poniekąd niezżydowskiego, które opuściło Niemcy hitlerowskie i przebywa obecnie w Ameryce. Czytałem je jeszcze w Szwajcarii, zanim wyjechałem do Palestyny. To był kwiecień 1945 roku, od tego bowiem czasu spośród 24 stron tego tygodnika osiem, a więc jedna trzecia poświęcona była nekrologom po Żydach niemieckich, holenderskich, francuskich, zamordowanych w czasie wojny. W żadnym nekrologu nie było miejsca zgonu, bo skądże miały rodziny w Ameryce wiedzieć, gdzie spalono lub zagazowano ich bliskich? Tam też ujrzałem krótkiego dnia nekrolog po krewnych Fritza M., i Ernsta B. Napisałem jednemu i drugiemu list z kondolencjami. Ernst odpisał, Fritz M. przemilczał. Zresztą z listu Ernsta B. dowiedziałem się wszystkiego. Nikt z ich licznej rodziny nie pozostał przy życiu, zarówno ci spośród zamieszkałych w Niemczech jak i w Austrii, Czechach, Holandii. Ernst donosił, że dopytywali o swoich w dawnych sąsiadów, ale ci mogli jedynie podać daty wyjazdu na wschód. Do tej pory żaden z nich nie wrócił i ja wiem, że już nie wróci. Teraz słuchaj uważnie: sądziłem, że każdy z tych nekrologów posłużył tym ludziom jako akt oskarżenia przeciwko Niemcom. Nekrologi się mnożyły, mogły wśród nich spotkać nazwiska znakomitości, nazwiska osób zasłużonych dla nauki, sztuki, przemysłu, nie tylko niemieckiego, nie tylko Europy, ale świata całego. Nekrologi następowały w takiej kolejności, że niektóre przytaczały w granicach jednej i tej samej ramki imiona dziadków, dzieci, wnuków, nawet prawnuków wysiedlonych razem jednego dnia — nach Osten. Przyznam ci się, że mnie ta lektura pasjonowała, czytałem te strony osobno w czarne ramki, jak wszystkie

wiadomości, które zawierają jakieś dane o znajomych, spotykanych w różnych okresach mego życia. Były tam imiona skromne obok bardzo świetnych, obok rodzin z Hamburga, Düsseldorfu, Dreznia, Lipska, nazwiska jakichś ludzi z małych miasteczek, jakiegoś Schussenried, Achtstätten, Igling. Były nazwiska, obok których podawano dawne adresy z Unter den Linden, Kurfürstendam, z ścisłym uzupełnieniem numeru domu, nazwy firmy reprezentowanej lub prowadzonej przez zamordowanego, ale szybko przemogłem niemiak wywołany tym graficznym nagrobkiem, tak ścisłym, tak dokładnym, tak niemieckim. Odrzuciłem myśl, że w tej dokładności chodzi o uniknięcie pomyłki, możliwości pomylenia nazwiska i imienia tego zmarłego z imieniem i nazwiskiem podobnym, ale przynajmniej do zupełnie innej rodziny, do innego człowieka. Myślałem, że w tej dokładności chodzi o ścisłe określenie, jak w akcie urzędowym, sądownym, że to właśnie ten zamordowany, ten, a nie żaden inny widokiem czarnych ramek domaga się sądu, wyroku, kary. Dopiero potem wracalem do tekstu redakcyjnego i muszę ci powiedzieć, że tu się rozbiły, moje bardzo uczuciowe, ale myślę, że również bardzo istotne przesłanki. Pomiędzy papierowym cmentarzem ostatnich stron, a żywą treścią pierwszych, wyzierała przepaść, straszliwa przepaść, w której nie było — mimo wszystko, mimo dokładnych adresów, firm, nazwisk — miejsca dla pamięci po tamtych zamordowanych. Na pierwszych stronach i w tekście, tym poza — cmentarnym Żydzim nie było — mimo wszystko, mimo dokładnych adresów, firm, nazwisk — miejsca dla pamięci po tamtych zamordowanych. Na pierwszych stronach i w tekście, tym poza — cmentarnym Żydzim nie było — mimo wszystko, mimo dokładnych adresów, firm, nazwisk — miejsca dla pamięci po tamtych zamordowanych. Na pierwszych stronach i w tekście, tym poza — cmentarnym Żydzim nie było — mimo wszystko, mimo dokładnych adresów, firm, nazwisk — miejsca dla pamięci po tamtych zamordowanych.

Pomyślałem chwilę, bo nie bardzo wiedziałem, o co chodzi Henrykowi.

— To jasne, ukaranie Niemców.

— Otóż to. Ale wtedy Fritze M. i Ernsta B. przypomniał mi sobie, że od któregoś tam roku wpisywano na ich

konta bankowe dokładne sumy dochodów, że zostały fabryki, do których trzeba wrócić, zakłady, które stanowią ich własność i oni pierwsi — możesz to sprawdzić — oni pierwsi podnieśli głos przeciwko polityce jednego z państw okupujących Niemcy, które pragnęło likwidacji wielkiej własności, przemysłu ciężkiego, by ich raz na zawsze pozbawić możliwości odwetu za poniesioną klęskę. Tak, ale wtedy musiałyby ulec nacjonalizacji również zakłady Fritzw M. i Ernsta B. Henryk przerwał na chwilę, odetchnął i widząc, że czekam, mówił dalej: Nie chcę być cynicznym twierdząc, że los naszych, los „Ostjuden” był im obojętny, ale wydaje mi się, że los ich zamordowanych niewiele ich obchodził, skoro pomiędzy nekrologi o zmarłych, a żądaniem zwrotu fabryki, wsunęła się również fabryka hitlerowca, która jedną stroną sąsiadowała z nieznanym cmentarzem wybudowanym przez Niemców, a z drugiej strony z fabryką żydowskiego przemysłowca. Z pomocą przyszła im zresztą polityka departamentu stanu i przyklasnęli jej, lecz nie wiem, kto był inspiratorem tej polityki, prawdopodobnie nie człowiek, a interes. W tej chwili wpadło mi zresztą do głowy, że tacy Ernstowie gotowi są popierać wszelką akcję przeciwko ustaleniu po wojnie granicom, byleby uzyskać utracone fabryki i zakłady, nawet gdyby Niemcy mieli na tym zyskać.

Zapytałem:

— Czy sądzisz, że dlatego Halina nie pisze do mnie?

— Nie, nie pomyślałem o tym. Mówiłem przed wyjazdem z jej mężem. Prosił, abym się dowiedział, jak wygląda sprawa młynów jego zmarłych wujów w Sz.

— No i co?

— Odmówiłem. Odmówiłem dlatego, że widzę waszą rację, powiedziałbym nie tylko waszą rację państwową, ale naszą rację, rację tych, którzy nie ogłoszali nekrologów po zamordowanych. Ta racja przymierzona do skali Niemiec, położyłaby kres przyszłemu rzeziom ludów.

— No, no, mówisz jak socjalista.

— Możesz to nazwać jak chcesz, ale

moja opowieść nie na tym się kończy. Posłuchaj dalej. Podróżuję od miesięcy i staram się powiązać zerwane kontakty handlowe, wracam teraz z Anglii, z Liverpoolu, gdzie odwiedziłem wujostwo Ernsta B., tam właśnie zamieszkał jeden z braci K., byłych właścicieli majątków w Sz. Posiadają wielką stalownię i ubiegalem się o ich przedstawicielstwo na bliski wschód, które od chwili wybuchu wojny było nieobsadzone. Sprawa nie była prosta, bo pierwszeństwo posiadał ich dawniejszy przedstawiciel sprzed wojny, znana firma w Kairze. Zapowiedziany przez Ernsta B., odwiedziłem ich w ich domu. Jest to stary gmach, w którym się zbiegały sprawy handlowe i bankowe Rotszylów jeszcze w okresie wojen napoleońskich. Odwiedzali ich zresztą, zarówno ci wiedzący jak i parasyści, i pokazywali mi pamiątki po nich, zresztą bez chępliwości. Było tam dużo pamiątek z początków 19 stulecia, ale na empirowym stoliku stał najnowszy telewizyjny odbiornik radiowy. Miałem zamieszkać u nich przez kilka dni i wobec pani domu wyraziłem swój podziw dla zachowanych pamiątek zdołających dom. Powiedziałem, że nie zamierzam im ich pamiątek, już z tego względu, że są najciszej związane z historią ich domu, gdzie indziej świadczyłyby zapewne o snobizmie właścicieli. Natomiast pragnęłbym mieć taki odbiornik telewizyjny. Wstałem od stołu i przyjrzałem mu się z bliska. Nosił markę z napisem 1948, mimo że, jak ci wiadomo, mamy obecnie lato 1947. Zdziwiony zapytałem, co to znaczy. Wyjaśniła mi, że rok rocznie zmieniają marki radiodiodów i samochodów i już na kilka miesięcy przed ich pojawieniem się na rynku, oni już nimi dysponują, ponieważ przedmioty te otrzymują bezpośrednio z fabryki, przed sprzedażą powszechną. Ten aparat, który mi się właśnie tak podoba, ukazał się na rynku w styczniu 1948 roku. Wyjaśnię ci, dlaczego przytaczam ten szczegół, zdaniem moim — ważny. Nie poczuję tego za snobizm, jeśli ktoś wyprzedza innych w nabywaniu pewnych rzeczy. To świadczy raczej o możliwościach finansowych nabywcy.

O interesach mieliśmy mówić we wto-

rek, taki był zwyczaj u wujów Ernsta, tradycja domu, podobno szczęśliwy dzień. Jako gość zgodziłem się na przestrzeganie tego nieszkodliwego zwyczajku, ale potem się okazało, że zwłoka ta miała co innego na celu. Przyjechałem do nich w niedzielę i po prostu w ciągu dwóch dni pragnęli bliżej poznać człowieka, któremu mieli po wierzyć swoje przedstawicielstwo. Nie wystarczyła im gwarancja bankowa ona gwarantowała im jedynie wartość materialną towaru, lecz nie wartość moralną ich domu. Nie wiedzieli, że się zorientowałem w sytuacji, mogłem ją wykorzystywać w tym celu, aby się postawić w świetle najlepszym, niedopuszczającym żadnych wątpliwości, tak zwanych moralnych. Rozumiesz, że gdybym był przyjeźcą, powiedziałem, we wtorek, szczęśliwym dniem dla rozmów handlowych byłby nie wtorek, rzekomo tradycja domu, lecz piątek, uważany u nas na przykład za dzień teraźniejszy. Ale zostawmy to.

Wieczorem ciotka Ernsta zapaliła w pokoju, w którym mieliśmy spożyć kolację, świecę i ustawiła je na stoliku nakrytym czarną jedwabną serwetką. Pani była osowiała, zapytałem więc wujów Ernsta, tak aby żona nie słyszała, na jaką intencję zapaliła świecę. Odpowiedział mi szepcąc, że dziś przypada domniemana rocznica śmierci ich krewnych. Podszedł do biurka i wyjął z niego plik „Aufbau”. Otworzył jakiś egzemplarz i pokazywał mi nekrologi. Czytałem je ponownie z zainteresowaniem, mimo, że już je znałem. Jego żona podeszła do nas i spozostregłszy co czytamy, rzekła: straciłmy wszystkich bliskich.

W czasie kolacji mówiło się o polityce, o minionej wojnie, a w związku z Ernstem padło nazwisko jego wuja z Sz., który w czasie wojny zmarł w ich domu. Czy znałem go? Tak, znałem z Berlina, potem z Sz., znałem jego zakłady i młyny.

— Aha — wtrącił wuj Ernst. Te młyny, to też ładna historia — ni stąd, ni zowąd — nacjonalizacja. Jak się to panu podoba?

Poniałem nie odpowiedziałem od razu ciągnął dalej:

— No, młyny, mniejsza o młyny i fabryki mebli. Dostaniemy za to odszkodowanie, ale proszę pomyśleć, co Rosjanie chcą zrobić z naszymi fabrykami w Niemczech. Po prostu oddali je robotnikom, a my siedzimy na akcjach, które w tej chwili nie mają żadnej wartości. Czy pan też coś stracił w czasie tej wojny?

— Straciłem coś niecoś, ale ta strata jest mało ważna. Ważniejsze, że ni Niemcy wymordowali bardzo liczną rodzinę i najdalej idącą nacjonalizacja przemysłu niemieckiego nie wyrówna tych strat.

Puścił mimo uszu pierwszą część zdania, jakby ono zawierało coś nieistotnego i uczył się zakłócenia.

— Czy pan też jest zwolennikiem nacjonalizacji?

Patrzył uparcie w moje oczy.

Odpowiedział: tak.

— A — namyślił się chwilę — dlaczego właściwie?

— Bo jedynie ora może pozbawić tych, którzy nas mordowali, podstaw materialnych do uzyskania przyszłych, prawdopodobnie jeszcze gorszych rzezi.

W odpowiedzi uśmiechnął się sarkastycznie, jego żona siedziała wyprostowana utkwivszy wzrok gdzieś ponad moją głowę.

— To w takim razie chciałby pan, aby i moje fabryki pozostały w takim stanie, w jakim są obecnie, to znaczy znacjonalizowane? Nie miałby pan wtedy kogo reprezentować?

Jego żona ciągle patrzyła nie widząc mnie.

Odpowiedziałem:

— Najpewniej nie miałbym, ale byłaby gwarancja, że środki materialne uzyskane z pracy ludzkiej nie pójdą na armaty, kule, komory gazowe.

Zapytał:

— Czy pan wierzy w to, co pan mówi?

W odpowiedzi uniosłem numer „Aufbau”, leżący na stole i spoglądając ku płonącemu w rogu pokoju świecom podsunąłem go milczącej pani. Była to gazeta z nekrologami po ich zamordowanych. Spojrzała na nekrologi z niesmakiem i rzekła:

— To pan jest gorszy od hitlerowców. Ich dom opuściłem jeszcze tego wieczoru. Wiem, że moje zachowanie się odbiegało bardzo daleko od zwyczajów, panujących w tym domu, w którym bywali Rotszylowie, ci z Wiednia i Paryża.

Nazajutrz zadepesowałem do Ernsta B., że umowa z jego wujem nie dojdzie do skutku.

— A co Halina — o mało nie powiedziałem — a co moja Halina o tym myśli?

Henryk sięgnął po portfel, z którego był niedawno wyjął fotografię mego ojca, wyszukał jakiś list i podał mi go. Była to odpowiedź Ernsta na mój telegram. List był pisanym po niemiecku, datowany z Tel-Awiv:

Henryku, otrzymałem Twój telegram i list mego wujostwa. Jestem oburzony. Obraziliś moich krewnych tylko dlatego, że jesteś „Ostjude”.

Ernst

a poniżej drobnym pismem Haliny, po polsku:

Kochany Henryku! Pozdrawiam Cię serdecznie, bardzo serdecznie.

Halina

Antoni Gołubiew

Stanisław Wygodzki

List do redakcji

O prawach krytyka

Dopiero po powrocie ze wsi przeczytałem artykuł p. Marii Rzeuskiej w 33 numerze „Odrodzenia” „Kronika dwu Piastów we współczesnej powieści” i dopiero teraz mogę zabrać głos w paru sprawach poruszonych przez autorkę. Oczywiście nie mam zamiaru wypowiadać swego zdania w sprawie oceny artystycznej moich książek. Sądzę, że krytyk ma pełne prawo do swego sądu i nie jest rzeczą autora kwestionować ten sąd (przynajmniej publicznie) a tym bardziej z sądem tym polemizować. Tak jest, jeśli krytyk nie przekracza swych uprawnień. Sądzę, że p. Maria Rzeuska uprawniała te przekroczenia w dwóch punktach i właśnie w tych punktach uprawniała mi do poniższych wyjaśnień.

P. Rzeuska pisze: „Według zastanawiającego pieczołowitych danych (Grabski, Bunsch i Gołubiew — przyp. mój) pisali swe utwory między rokiem 1940 — 1945. Zmieniają zwłaszcza daty Gołubiewa: 1940 — 1944. Wolą więc uchodzić raczej za proroków niż za wyrazieli obecnej sytuacji polityczno-historycznej. Prawem krytyka rezerwuję sobie nieco sceptycyzmu co do dat wcześniejjszych.”

Wydaje mi się, że p. Rzeuska nie posiada tych praw które sobie użyczyła. Pomijam nieduwzyczne, a niesłychanie dziwne zdanie o tym, że wole być raczej prorokiem niż wyrazieliem obecnej sytuacji itd. Zapytuję tylko p. Rzeuska, skąd ona wie o tym, co ja wole? czy czytała to z mojej książki? czy może obciąża ostrość jej krytycznego wejścia jakiś wzgląd inny? Mniejsza z tym. Ze swojej strony pozwalam sobie wyjaśnić, że ja n.c nie „wolałem”, tylko napisałem uczciwie datę powstania powieści. A właściwie — muszę się teraz do tego przycznie — istotnie podfałszowałem ją lekko. A podfałszowałem ją o tyle, że zacząłem pracę nad „Bolesławem Chrobrym” w r. 1938 — i mam na to dowody. Wiosną 1939 powieść już była na tyle posunięta, że wydrukowałem w „Kurierze Wileńskim” (bodaj że w numerze wielkanocnym) fragment z części pierwszej (opis puszczy). Nieco później czytano w ramach audycji literackich w Polskim Radiu rozdział z piątej części pierwszego tomu pt. „Grobla” (o prawie Bolesława przez Notę i bitwie w lasach pomorskich w czasie wypraw na Jomsborga). Fragment ten — o ile pamiętam — zakwalifikowałem do mikrofonu p. Zbigniewa Kopalko pracujący obecnie w rozgłośni łódzkiej; czytał go p. Piotrowicz. Znaczną część pierwszego tomu powstała jeszcze przed wojną. Dlaczego więc przesunąłem datę rozpoczęcia pisania na rok 1940? Dlatego — tu zapewne zadziwie niejednego krytyka — że początkowo moim zamiarem było pisanie

powieści językiem całkiem niearchaizowanym; oświadczenie bowiem niezbyt lubię archaizację. Ale kiedy po roku sięgnąłem do rękopisu, doszedłem do wniosku, że pierwotne założenie było fałszywe; że język w powieści jest elementem zbyt istotnym, by złąde perspektywy historycznej dało się wystarczająco plastycznie osiągnąć bez archaizacji. Nie wchodzi w to, czy zmiana decyzji była słuszna, czy nie. Ale była. W roku 1940 rozpocząłem pisanie od nowa. Pisałem jednak grubszą wedle pierwotnego tekstu i oba opublikowane jeszcze przed wojną fragmenty znajdują się w książce. W końcu roku 1941 przepisałem rękopis na maszynie i egzemplarz ten po wojnie oddałem „Czytelnikowi”; znalazły się w nim tylko nieduże poprawki stylistyczne. Wobec tego trudno jest bardzo mówić o tym czym „wole” być; wiem tylko, czym jestem. A jak to ktoś zechce nazwać, to już jest jego sprawa.

P. Rzeuska zarzuca mi świadome kłamstwo (bo coś innego mogą znaczyć jej słowa?). Na jakiej podstawie to zarzuca? Czy jest to prawo krytyka? A sprawa nie jest wcale tak biała. Dam na to przykład. Przed rokiem byłem w Swinoujściu i w Szczecinie z autorskimi wieczorami w ramach akcji „Autoryzacja wśród swych czytelników”. Słuchając mnie ładnie chyba z półtora tysiąca osób. Opowiadałem im m. i., jak pisałem swa powieść właśnie w latach 1940 — 1941. Nie miałem wtedy możności uzupełnienia mych studiów. W tym kwestionowanym roku 1941 — właśnie „czasu zwycięstw niemieckich”, jak barwnie pisze o tym p. Rzeuska — w budce stróża nocnego pisałem o zdobyciu Jomsborga. Nie mogąc zdobyć potrzebnych mi opisów geograficznych długo wpatrywałem się w mapę i wyczytywałem się w skąpe źródła historyczne, by „odtworzyć” wygląd, koloryt, zasadniczy ton krajobrazu. Po latach zaś płynąc statkiem po „Odrze”, wędrując nad brzegiem morza, patrząc na powolny bieg rzeki, skonstatowałem, że „odtworzyłem dobrze”. Czyż jest niezrozumiałe wzruszenie pisarza, gdy stanął na obmywanej płasko plaży, gdy deptał tę ziemię, tak w owym roku daleką i jakby nierzezywistą, gdy to wszystko, co wtedy usiłował dojrzeć — właśnie „czasu zwycięstw niemieckich” — teraz było dotykalne i widzialne? Gdy na tym samym miejscu miał swój wieczór autorski? Czyż dziwne jest że tym wzruszeniem podzieliłem się ze słuchaczami? (p. Rzeuska zarzuca mi nie tylko, że zrobiłem to „nastrojowo”; być może). A teraz ci sami słuchacze dowiadują się że szpalt „Odrodzenia”, że z tą datą... kto wie, jak tam było; że pisarz woli udawać proroka niż istotnie deptać stopą polskie wybrzeże pod

Szczecinem; że jego prawdomówność stoi pod znakiem zapytania. Raz jeszcze pytam: jakim prawem się to robi? A nadto: cul bono?

Muszę jeszcze bardziej zadziwić p. Rzeuska, co do owego „prorokowania” Oto w czasie wojny — co prawda już czasu klęsk niemieckich — napisałem znaczną część trzeciego tomu, w którym obszernie poruszam stosunki polsko - czeskie. Niechże sobie p. Rzeuska „rezerwuje prawo krytyka” i na przyszłość, bo się to jak najbardziej jej przyda. Co prawda tych fragmentów nie ogłaszałem, z wyjątkiem jednego w „Odrze” w 1946 r. Ale wiecie, że osoba czytała w rękopisie moje prośtwia; mogą zaświadczyć.

Druga sprawa jest krótsza. Oto p. Rzeuska powiada o mojej książce, że „wielu mówi o niej z patosem i uznaniem przy bliższym badaniu okazuje się jednak, że wiedzą o niej z tytułu lub na podstawie opinii cudzych. Gdy pytałem, dlaczego tak wartościowej ksiażki nie przeczytali, padala odpowiedź że owszem, rozpoczęli, ale nie dali rady skończyć. Ale — pisze dalej p. Rzeuska — są tacy, przynajmniej, którzy czytali i również się zachwycają.” A w innym miejscu: „Nic dziwnego, że mało kto potrafi dobrać do końca”. I jeszcze gdzie indziej: „Rozwlekła opowiadanie i duże rozmiary zmniejszają czytelność autora”. Doprawdy, z zastanawiającą pieczołowitością usiłuję krytyk podkreślić, jak niemal nikt nie jest w stanie mojej książki przeczytać.

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczam raz jeszcze, że nie chcę wtrącać się do oceny wartości książki. Chcę mówić tylko o tym, czy książka jest czytana, czy nie, chcę mówić o obiektywnych faktach, wydaje mi się, że w tym punkcie również przekracza p. Rzeuska prawa krytyka. Bo fakty przeczą jej twierdzeniom. Dziesięć tysięcy nakład powieści został sprzedany w niespełna rok, mimo dość wysokiej ceny (1560 zł), wydawca zaś zdecydował się na druk drugiego wydania (7000). Co więcej: jak wynika z sprawozdań „Czytelnika” większość nabywców kupowała osobno tom pierwszy, osobno zaś drugi, a więc czytelnicy na wydanie 900 zł. za „Szo Nowe” zdecydowali się już po przeczytaniu „Puszcz”. Informowano mnie w wielu czytelników, że abonenci czekają na „Bolesława Chrobrego” nieraz po parę miesięcy, nawet jeśli czytelnia posiada kilka egzemplarzy. Koledzy pisarze, przeprowadzający niedawno akcję badania czytelnictwa na wsi opowiadał mi o żywym a samodzielnym odzewie wsi na moją książkę; Tadeusz Breza w „Dzienniku Literackim” opisał nawet rozmowę na ten temat z wiejskimi czytelnikami; m. i. czytelnicy ci zaprzeczali, jakoby język był styły był dla nich niedostępny lub utrudniał

czytanie. Mógłbym przytoczyć wiele innych dowodów na to, że jesteni potrzebny czytelnikowi z różnych warstw społecznych, różnego poziomu wykształcenia, różnym poglądom ideologicznym. Jednakże wyliczenia takie jest zbyt żenujące i przykre, zbyt wygląda na chwalebne własnego dzieła, bym miał je ciągnąć zbyt długo. Po prostu fakt zaspakajania potrzeb czytelnika, fakt właśnie czytelności, który jest największą radością dla pisarza i największym bodźcem do dalszej pracy, jest dla mnie zbyt ważny bym pozwolił go bez wystarczającego uzasadnienia kwestionować. A mam do tego prawo, gdyż ocena tego faktu należy w równej mierze do autora, jak i do krytyka, jak zresztą do każdego, kto zechce bliżej go zbadać.

Tak jest dzisiaj. A jutro? P. Rzeuska pisze: „Zdarzało się na przestrzeni historii literatury, że utwo-ry od razu głośno zamierzali po przejściu próby czasu i schodziły na dalszy plan. Obawiam się, że czekał to Gołubiewa”. Być może, że tak będzie. Nie wiem. Oboje z p. Rzeuską jesteśmy na tyle imożni, że m-że jeszcze będzie to nam dane zobaczyć. Ja wole nie udawać proroka. Wiem dobrze jak często na przestrzeni literatury zdarzało się, że zarówno entuzjazm autora, jak i sceptycyzm krytyka okazywały się zawodne. Rozstrzygnięcie tej przepowiedni bezpiecznej jest — dla nas obojga — zostawić cierpli- wemu czasowi.

To jest właściwie wszystko, co mam do powiedzenia w związku z artykułem p. Rzeuskiej. Obie omówione przeze mnie sprawy dotyczą faktów, nie ocen. W obu też p. Rzeuska wyrzadziła mi krzywdę. Ale może nie tylko mnie? Bo tego rodzaju twierdzenia, które mogą być bez trudu obalone podrywają zaufanie czytelnika w ogóle do krytyki i do jej sądów — po prostu do jej obiektywizmu.

Te moje wyjaśnienia wypadły dość obszernie. Lecz ośmieliło mnie do pisania przekonanie, że cała ta sprawa posiada pewien sens bardziej ogólny. Chodzi właśnie o prawa krytyka. Są one rozległe, ale mają też swoje granice. O jednej z tych granic chcę powiedzieć: moim zdaniem krytyk nie ma prawa insynuować autorowi takich czy innych zamiarów czy intencji. Nie ma prawa pisać, czego autor „chciał” i co „woli”. Bo o tym nie wie. Ma książkę, i pisze o książce. Jeśli przekracza tę granicę, czyni to bezprawnie. A uwaga ta dotyczy nie tylko mojej osoby — i jeśli moja sprawa przycygnięta się do uświadomienia tych granic, może nie będzie szkoda jamów „Odrodzenia” nawet na tak obszerną wypowiedź — ostatecznie o charakterze dość osobistym.

Ernst

a poniżej drobnym pismem Haliny, po polsku:

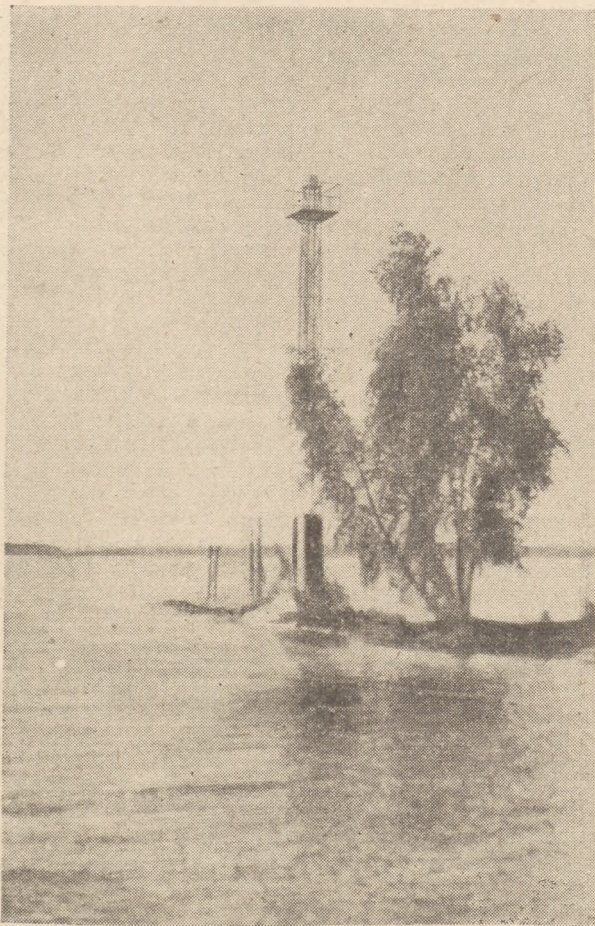
Kochany Henryku! Pozdrawiam Cię serdecznie, bardzo serdecznie.

Halina

JERZY PUTRAMENT

Lato w Giżycku (3)

BIEDNE KROKODYLE



Latarnia nie morska i Lewentyn

Łości kaczek tutaj są niebawale. Chwilami jeziora przypominają mi staw pod nieświeżym zamkiem, gdzie nie wolno było na nie polować. Tu polować wolno, są tacy, którzy z tego żyją. Są również traperzy sezonowi, którzy przyjeżdżają tu na lato i kaczkami, sprzedawanymi do restauracji, opędzają niewysokie na ogół koszty utrzymania.

Inżynier R. jest prawdziwym traperem, osiadł tu na stałe. Z licznie rozsiadanych w okolicy trupów samochodowych zmontował sobie pościelarkę, którą rozjeżdża po borach, ścigając przede wszystkim dziki. Tego tałaństwa jest tu pełno. Ubiegłej zimy inżynier upolował okrągły tuzin. Kto nie wierzy, niech się do niego zaprosi na szynkę z dzika.

Las mazurski oczywiście to nie tylko zwierzyna. Ziemia leśnicze, których zbiór został już od dwóch lat zorganizowany, stanowią cenną pozycję naszego eksportu. Ale zarówno handlowo jak i turystycznie ciekawsze są grzyby. Wyrosłem w rodzinie, w której scena grzybobrania z „Pana Tadeusza” nie miała w sobie nic z zabytkowości, czy egzotyki. Grzybobranie było czymś w rodzaju rodzinnego sportu z własnym rytuałem i rekordami. Nie bez wzruszenia wkroczyłem więc do mazurskiego lasu wciśniętego między dwie odnogi Mamr.

Pierwszy jednak okaz znaleziony niewiele miał wspólnego z tradycyjnymi gatunkami grzybów. Był to mianowicie pięknie zachowany posik kalibru 75 mm. Na przestrzeni paru kilometrów poszukiwań „grzybonośnych” terenów, napotkałem parę dziwnych polan, których środek stanowił kilkumetrowej głębokości dół otoczony świeżą porębą. Drzewa były już popilowane, ułożone w sągi i ten gospodarny pejzaż nie przeważył od razu zrozumieć, skąd się te polany wzięły.

Tylko porozrzucone na skrajach polan kawałki blachy i odłamki drewnianych skrzynek rozwiązywały zagadkę. Po prostu lokowały się tutaj składowiska amunicji, z których już Niemcy nie zdążyli skorzystać i albo sami wysadzili w powietrze, albo pozostawili tę niemą robotkę polskim saperom. Głębokość dołów świadczyła o stosunkowej zasobności tych artyleryjskich spichlerzy. Las w promieniu kilkudziesięciu i więcej metrów dookoła padał pokotem. Miło jest stwierdzić, że nie zginił, że został jakiś wykorzystany.

Mówiło się i pisało wiele o „Prusach Wschodnich, bastionie militarystyki niemieckiej”. Jak bardzo ściśle było to określenie, świadczą nie tylko rozległe i nowoczesne dzielnice wojskowe Giżycka, ale i przede wszystkim lasy pruskie. Każdy dosłownie pagórek dookoła Giżycka krył na swoim szczytynie szczyt jakiegoś fortu, forcieku, forteczki. Mistejne zaskaki kolczaste,

rowy strzeleckie i łącznikowe pełnego profilu, w środku żelazo-betonowe bunkry — to niedziałający rekwizyt bliskich okolic Giżycka. Ilość pocisków artyleryjskich z łuskami i bez, z zapalnikiem i bez, które wdrygać się na myśl, ile jeszcze pokoiem młodocianych pastuchów znajdźcie sobie wśród tych idyllicznych gajków i pagóreczków tani i błyskawiczny środek komunikacji na tamten świat.

Co się tutaj działo w pierwszych latach powojennych, można sobie wyobrazić przeglądając lokalne cmentarze, gdzie w wysokiej procentowo kategorii „śmierci tragicznych” jakąś jedną trzecią zapewne stanowią ofiary min. Wysiętek sapa był tu kołosalny. Ten może powiedzieć o sobie, że wojna dla niego nie skończyła się ni w 1945, ni w 1946 roku.

Dalej od miasta zwłaszcza w zerowych, z punktu widzenia wojskowego jak ówce półwysp, terenach min rzekomo nie ma. Z grzybami też nie od razu idzie łatwo. Sezon tegoż oczywiście nie należy do normalnych. Niebawale dżdżysty początek lipca rozbił zwykłą kolejność urodzaju grzybowego. Przypadkowe „świętojańskie” borowiki przedłużyły się aż do połowy lipca, podczas kiedy cały szereg mniej szlachetnych gatunków jeszcze się nie pokazał.

Długo błądził w olbrzymim wysokopiennym lesie, złożonym z wiekowych sosen, z rozrzuconych garściami wysokich dębów, osin, brzoź, z gajków gęsto ściśniętych świerków, z pojedynczych okazów klonów, wiałów, jarzębiny, jesionów i nawet lip. Wszystko to jest gęsto podzięte maliną. Rzadkie polanki zarosła wysoka papróg.

W takim lesie trudno znaleźć porządnego borowika. Niebawem towarzystwo specjalizuje się. Panie przechodzą na zbieranie późniejszych pozimiek, panowie wybierają się powężyć za dzikiem, ja osobiście z pełną świadomością życiowej degradacji, który daje ten proceder, uporczywie wyluskuję kurki, rozrzucając garściami w kępkach mchu.

Dopiero po jakiejś godzinie wyprawa na dziki wraca, przynosząc w czapkach kilka borowików. Ruszamy na nowy teren i wśród niewysokich, może trzydziestoletnich, rzędami zasypanych sosenek, rzuca się do najszybciej konkurencji grzybobrania.

Przyzwyczajonemu do lasów nadniemieńskich, gdzie te same sosenki rosną jak tłum na wielkim placu, to zwierając się, to rozchodząc, trudno uwierzyć, że w tych po wojskowemu karnych szeregach młodego sośniaku, szlachetnej rasie borowików zechce się przychodzić na świat. Fakty jednak, jak rzekł ktoś wybitny, to rzecz uparta. Z lewa i z prawa słyszę już triumfalnie okrzyki szczęśliwszych ode mnie ry-

wali. Garbię się, zgięty na pół, przedieram się przez pajęczynę i sprzeczając do nie gąszczy, podjeżdżany tym samym niepokojem i zamartwieniem, który futbolistom kaze uganiać się po boisku, bokserom wyrzymywać serie ciosów w pexus solaris, pywakiom przecinać przez basen, zaczynając się modym i siodkawkym smakiem własnego zmęczenia. Skłonność do wiary w przesady, jak wszystkim sportowcom, nieocza jest również grzyboborcem. Wydaje mi się, że po dziewięciu latach przerwy straciłem wach, zapomniałem borowiczego kształtu i przeczodzę mimo.

Jaka pocęcha w tej depresji jest widok pierwszego, którego ciemnoczekoladowa czapeczka błyska właśnie na pograniczu runiejącej kępki mchu i spowiano-brązowego ospyśsa sosnowych igli.

Pierwsza runda nie przynosi rozstrzygnięcia. Kozpaa tylko ambicję. Drugi i trzeci raz rzuca się w zagajnik, rozdarcie między paselsystyczny poped, aby się trzymać bliżej tego szczęśliwszego, a zupełnie awangardową ochotą odwrócenia ustalonej już gradacji lepszyca i gorszych terenów, i podążenia gązień daleko na prawo czy na lewo, w niezadane jeszcze zakątki.

Przypadkowa to była wyprawa, nie klasyczna, nie ranna. Zmierzon już gorasta w zarosłach przekwitłego lubinu, który nie wiadomo dlaczego rozpienił się między sosenkami. Ostatnie zdobycze przypadają już na ciemność, przyspieszoną chmurami, które dojrząy w popołudniowej spiekocie i teraz ruszają do szturm.

*

Ilość ryb również budzi zdumienie. Spodziewania rybaczka zbijaaby tu miliony, gąnyo propaganda spóźnia ryb odniosa w tym kraju sznycli wieprzowych jakiś skutek i gdyby jakos konserw była trochę lepsza. Rutejsze sielawy, większe od troćkich, w smaku mogą konkurować z najlepszymi psragami Zachodu. Wędzone są nieporównane. Nęstety, zają się, że znoszą transport.

Ale królom jezior mazurskich jest szczupak. Inżynier R. obiecuje mi pokazać prawdziwe rybołówstwo, w swojej najbardziej sportowej odmianie: na blyszczkę. Ze trzy tygodnie czekam daremnie. Któregoś pogodnego popołudnia ruszamy wreszcie jego motorówką.

Rybakom jest dwóch: inżynier i doktor z Gdyni, który specjalnie na te łowy tu przyjechał. Pani Z., która im towarzyszy jak i ja, w ważnej na morzu roli balastu, ogląda blyszczkę, wygięta, jak łyżka, z czterema hakami, jak u kotwicy.

— Czy to humanitarne? — platonicznie zapytuje — Biedne ryki, to takie ostre...

— Pani zobaczy te rybki! — doktor wydma pogardliwie wargi. — To są drapieżcy. Taki połów, to jak byśmy gestapowca chwytali.

— Nie wiadomo jeszcze czy zobaczymy — Inżynier chmurnie ogłada oczewczo błękitne niebo — Ziy ażeń na połów. O, przed burzą!

Mamry rzeczywistości są idealnie spokojne, słońce praży. Jestem przgnębiony. W całym życiu raz tylko, przed ćwierć wiekiem, schwytałem na wędkę jedną jakąś, bardzo kolczastą rybkę, długości małego palca. Sądzę nawet, że i innym przynoszę pecha.

Doktor ciągnie za motorówką swoją blyszczkę, która jednak pewnie jest mało apetyczna. Inżynier po-

wtarza swój sąd pesymistyczny: taka pogoda nasiraja szczupaki marzyć. esko. Zresztą, przedwczoraj było parno, najajay się na tydzień naprzod.

— Pod tamtą górkę — radzi doktor. Daremnie jej szukam na brzegu, który jest cakiem psaki. Górka jednak się znajduje wreszcie, pod nami. Dno tu jest wyższe, sionce je przygrzewa, trochę wodrostow i cudo rybiego drobiazgu, który traktuje tę „górkę” jako połączenie piązy z jadodajnią.

— Jest! — woła nagle doktor. Kręci szybko bębnek.

— Okoń — krzywi się inżynier — Zbyt ciekawy. Zaczepił się skrzelałmi o hak, nie cnciał brać, chczał tylko się przyrzec. Mówiłem, zia pogodą, nie bora.

Odczepia dwudziestocentymetrową rybę, rzuca w jezioro. Stajemy na „kotwicy” — kamieniu, owiniętym sznurem. Gest inżyniera wyodaje mi się biuźnerczym marnotrawstwem: taką rybę! Co dziwne, jeśli teraz nie się nie trafi. Pani Z. jest za to szczęśliwa. Biedna rybka!

Doktor i inżynier ciskają swoje blyszczki o trzydzięści metrów od łozzi i pracowicie zwijają sznur — Ryba! — krzyczę, gdy coś srebrnego błyska tuż pod łodką. Jest to tylko blyszczka, której kształt i rucny odcieczone są właśnie na wywołane takich zudzeń. Gdybym był szczupakiem, było by już po mnie, ku radości kraowycw okcydentalistów.

Długi kwadrans mija na tym pskaniu i kręceniu. Rybitwy, które tu zerowały przed nami, odcięły na sąsiednią górkę, nie bez płaczliwych protestow. Słońce dotarło do lasu. Spóźnony motyl wysia się, by przed zmierzchem przelecieć ten swój Atlantyk.

— Jest — mówi doktor znowu. Jest tym razem poważny i ostrożny. Kręci powoli.

— Duży! — inżynier stwierdza to po nieznanym normalnemu czlowiekowi objawach.

— Chyba nie — skromnie zaprzecza doktor — Jakos za łatwo idzie.

Wpatrujemy się w zieloną wodę. Wędka pionowo napięta. Musiałby być gdzieś pod nami. Nic nie widac, tylko doktor z nabożentwem raz i drugi zwija bębnek, to go znowu popuszcza.

— Trzeba go zmęczyć — tłumaczy.

Coś szarozielonego w zielonej czerni jeziornej. Przywidziało mi się chyba? Nie rybje to kształty, zwłaszcza rozmiary — Jest! — mówi inżynier z nutką niepokój — Sznur wyrzymać? Musi być z dziesięć kilo.

Szczupak wolno się winduje do gory. Łysnął czarny grzbięt, koia wodne pobiegły i stadko rybek przysnęło na wszystkie strony.

— Nic nie rozumem — powtarza doktor — Czemu on taki spokojny? — Może chory? — rzuca pani Z. — Przecież ony?

— On też nie rozumie — stwierdza inżynier — Hak zaczepił go bokiem. Nie chciał brać, ale za blisko blyszczka przebiega, kątem pyska ją musnął, ze wzgędow pedagogicznych. Niby nie chodź po wsi... Niech go pan ostrożnie, pod burtę!

— Hak jest? — Zapomniałem. Trudno, trzeba go za oczy.

Szczupak jest przy łodzi. Odmierzcie sobie na ręce, od końca palców do obojczyka. Jeśli macie rękę normalnie długą, a wzrostu metr osiemdziesiąt, długość tego okaza będzie się zgadzała. Patrzy na



„Złapaliśmy już i dwudziestokilowe...”

nas spode łba, ale jest ciągle spokojny. Doktor wyraźnie się peszy: — Będę trzymał wędkę, może pan... Nie rozumiem, czemu się nie rzuca?

Inżynier nachyla się przy burcie. Wolno wyciąga rękę z rozczapierzonymi palcami, zbliża do szczupaczki pyska. Zdaje się że już go ma, ale tamten ciągle jeszcze ani drgnie. Jeszcze pięć sekund. Nagły plusk, inżynier cofa rękę. Szczupak wydart sobie jeszcze z metr życia.

Doktor znowu wolno hojuje go na powierzchnię. Znow ręką nad pyskiem. Palce przywierają do oczu, pręży się dłoń, ogon targa, ale już w powietrzu. Pani Z. łapie oddech, odskakuje na dziób łodzi.

Cóż to za ryba? To plaz, potwór, zwierzę. Olbrzymi pysk, psaki i czarna, rozchyla się właśnie, jak dziób ogromnego buclora, któremu opada żełwka i jak gwóźdź sterczący zęby, tylko nie jak drewniane, ostre jak szpilki, rzadkim półkolem obramujące szczękę. Tułów jest gruby, ogon zwęża się nagle i ryba wyjada się przez to krótsza.

— Dziesięć kilo! — potwierdza inżynier. Ciska ją pod ławkę, do przegródki z wodą — Złapaliśmy już dwunastokilowe.

Pani Z. wraca z dziobu i ostrożnie zagłada. Potwór jest nieruchawy. Jego obojętność uspokaja ją również. Inżynier jeszcze raz wraca do swojej pierwotnej tezy o niekorzystności aury dla połowu: — Pewnie drzemal sobie i jeszcze się nie ocknął. A nie mówiłem, że dziesięć kilo nie wyjdzie.

Ładne mi nic, o wadze dziesięciu kilo.

Słońce teraz ledwo zezuje zza dalekiego lasu. Jezioro jest jakby wyprasowane. Trzy kilometry na prawo ktoś woła na brzegu. Słyszymy go wyraźnie, jakby dysponował gigantofonem.

— No, teraz o zachodzie — mówi doktor — może się coś złapie. Niech pan popatrzy: drobiazgi się pożywia. Istotnie „górką” jest upstrzona mikroskopijnymi kółeczkami. Jedno, dwa, pięć, naraz wyskakują, rozbiegają się, krzyżują. Stadko muszek jakiś podmuch zagnał aż tutaj. Dłuziej iecież nie potrafią, stają się łupem drobiazgu.

Inżynier nie mówi: — Jest! Kręci tylko bębnek, na pytanie macha wzgardliwie ręką: — okoń. Doktor kręci także, jest bardziej uroczyście, czujemy, że i tym razem będzie jakaś sensacja. Pani Z. wpatruje się w ciemniejące jezioro, pewnie aby ocenić, czy nie pora zająć dogodniejszą pozycję na dziobie łodzi.

— Chodź tu, pokaż się... — doktor namawia poufale swego szczupaka. — Niech pani zobaczy, jakis ty piękny. — Szczupak jest mniejszy od pierwszego, komercyjny, trzy ki-

lo — ocenia inżynier i towarzystwo traci połowę zainteresowania. Doktor podkreca jeszcze trochę bębnek. „Komercyjny” nie jest jednak rozespany. Już przy burcie łodzi na powierzchni dokonuje dwóch gwałtownych zwrotów — i znika. Doktor z pewnym zażenowaniem robi wykład o wadliwym rozkładzie hakow w blyszczce.

W międzyczasie inżynier zdołał wywindować trzy półkilo okonie. Przez pięć minut wydarzenia się zagęszczają. Bodaj czy nie następny rzut przynosi doktorowi nowego szczupaka również „komercyjnego”, który mimo oporu znika w przegródce.

— Czy ten wielki jego nie zje — niepokoi się pani Z. słysząc tam lekką ruchawkę.

— Nie sądzę — mówi inżynier — W tym stanie powinny przeważać nlich nasroje metafizyczne. To zaś nie sprzyja apetytowi.

Jeszcze dwa okonie, czerwona i zielonkawa i znowu doktor z przydechem zwierza się: — Jest! Długa walka, popuszczane i podciąganie, aż wreszcie gładka szyba jeziorna pęka od czarnego grzbietu i znowu inżynier garbiąc się przy burcie zaczyna mu na oczach kościate palce. Plusk i walka. Ten się nie poddaje tak łatwo, nie jest rozespany. Trzeba precyzyj i siły, aby uchwytu nie popuścić, w porę targnąć, wyrwać z wody nagle ocięzate cielsko, utrzymać je, zwijające się w powietrzu, nie pozwolić się wyschnąć. Dopiero gdy pokrywa przegródki opada na swoje miejsce i wewnątrz slyszymy już nie ruchawkę a kottowanie, doktor, który dotąd dosyć patnonicznie trzymał oburacz krótkawe wędzisko, pozwala sobie na otarcie potu z czoła i prosi o papierosa.

Dalszy kwadrans jest bezskuteczny. Już tylko malinowe woda borem, woda ściemniała, rybitwy poszły spać. Wracamy.

Ciemna i gładka powierzchnia jeziora za nami staje się systemem geometrycznie dokładnych, trójkątnych fal koloru amarantowego. Czasem w kolorowych filmach widuje się także igrzyski, w których intensywny kolor i rytmiczne powtarzanie się pewnych prostych elementów geometrycznych potrafią na jakiś czas nadrobić brak pasjonującej fabuły, stromobistnych gwiazd i „happy endu”. Te ciepłe kolory jednakże nie mogą uchronić przed zębem, rozdmuchanym śpiączką łodzi i wieczorem.

Inżynier z trudem wyciąga dwa dziesięciokilowe olbrzymy.

— Tak — mówi — ale gdyby przed burzą, toby pan zobaczył. W zesłym tygodniu przez trzy dni złapaliśmy blisko trzysta kilo.

— Biedne... — zaczyna pani Z., urywa, widząc otwarty zębaty pysk i kończy trochę inaczej: — krokodyle.

Jerzy Putrament

Na trasie W-Z



Trasa W-Z, wyrastająca jakby pod działaniem różdżki czarodziejkiej, budzi stale zainteresowanie przyjezdnych i licznych warszawiaków, spieszących oglądać postępy w budowie tunelu i trasy. Połajemy akwarelę malarza Karola Albertiego z końca XVIII-go wieku, reprodukcją przez Aleksandra Kraushara w Widekach Warszawy, a przedstawiającą klasztor Panien Bernardynek od strony Wisły. Klasztor, w którym mieściło się pierwsze Konserwatorium Warszawskie, został zburzony w 1843 r. pod budowę wiaduktu Pancera.

sts

PROŚBA

do posiadaczy autografów Słowackiego

Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Wrocławiu przystępuje do pełnego, 16-tomowego wydania „Dzieł Wszystkich” Juliusza Słowackiego pod redakcją prof. Juliusza Kleimera, tj. do edycji tomów wydanych przed wojną i do opracowania nowych. W związku z tym zwraca się do wszystkich posiadaczy autografów Poety z prośbą o łaskawe porozumienie się z Wydawnictwem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, plac Solny 13.



„Olbrzymi pysk, psaki i czarna rozchyla się właśnie...”



fol. W. Puchalski

„Słońce teraz ledwie zezuje zza dalekiego lasu...”

Faramuski kanadyjskie

Ottawa w sierpniu 1948 roku

W Verdun, w prowincji Quebec, w Kanadzie, „pacnącej zywicą” P. Pierre Gatineau, szef miejscowej policji nakazał ostro, aby kobiety biorące udział w walkach zapasniczych odziane były w długie i luźne suknie, skrywające okładnię i ich obfite kształty. W mieście Hrossima, którego położenia geograficznego nie trzeba bliżej określać, gdyż miejsce jego jest już mocno w historii ugruntowane dzięki bombie atomowej, szef miejscowej policji zmusił wszystkich swoich podwładnych do nauki tańców amerykańskich — twierdząc, że bez tego ich wychowanie demokratyczne będzie niekompletne. Lekcje boogie-woogie odbywały się w komisariacie policji, a niechętne tej nauce policjanci i policjantki zwalniani są z pracy jako podejrzani o reakcyjne przekonania. W miasteczku Aymer, w Kanadzie, po długich i uporczywych walkach udało się miejscowemu wyrotowcom wywalczyć zniesienie zakazu noszenia krótkich spodni („szortów”) w czasie uprawiania gier sportowych. Miejscowy wyrotowiec, przez Klubu Przemysłowców, p. Jack Couture, o którym wypadnie nam jeszcze mówić, argumentował w ten sposób: „Od nas tylko zależy, żeby godnie przyjąć naszych (amerykańskich) — uważa K. K.) letnich gości, nie osiłonimy tego jednak, pakując ich do kryminału w upalny dzień za to tylko, że chcieli się trochę ochłodzić i złamać w ten sposób archaiczny regulamin”.

W tych trzech wypadkach walki policji ze zdrowym rozsądkiem wynik jest dwa do jednego. W dwu wypadkach wygrali Amerykanie: w japońskiej Hrossimie, w której demokracja to boogie-woogie i w kanadyjskim mieście Aymer, w którym postępek do dolary. Te trzy miliony dolarów rocznie, które turyści zostawiają w Kanadzie. Nie należy drażnić Amerykanów w Japonii, trzeba zgrabić tancerzy boogie-woogie. Nie należy zniechęcać amerykańskich turystów, każąc im w pame upalnie lato kanadyjskie grać w tenisa w długich portkach. To są głupie żarty jeśli ktoś twierdzi, że dolar nie niesie postępu. Rozumie to dobrze p. Jack Couture, businessman i liberal. Rozumie on także, że nie tylko dolary przynoszą dochód: praca urzędnicza czy robotnicza też przyczynia się do wzrostu kont bankowych jego przyjaciół.

Toteż „pławienie czarownic”, czyli białe, obojętne pracowników państwowych, które za wzorem Ameryki rozpoczęło się w Kanadzie, nie znajduje jego uznania. W liście do „Citizena” z dnia 5 lipca br. p. Couture skarży się, że członkowie (fikcyjne zresztą — uważa K. K.) Towarzystwa Dozorców Krów masowo opuszczają szeregi organizacji, której cele są natury zgoda niewinne. P. Couture przytacza kilka listów, które otrzymał od członków Towarzystwa. Oto jeden z nich: „Rząd zmusza nas do wyznania, do jakich organizacji należymy. Nie mogę już dla kraju pracować, bo cały mój czas pochłonięty jest dawananiem odpowiedzi na liczne kwestionariusze. Mój szef ma zamiar przesłać Gallupa (główny instytut amerykański, trudniący się sondowaniem opinii publicznej w różnych sprawach — uważa K. K.). Straciłem już ochotę należeć do jakichkolwiek organizacji. Nasza przysiężna była miła, muszę jednak myśleć o mojej posiadłości”. Jest jasne, że p. Couture nie lęka się o losy towarzystw typu Klub Zielonej Pchły czy Entuzjastów Łupieżu. Tego typu towarzystwa mają szansę przetrzymać czas burzy i naporu. Ale właściciele towarzystw okretowych, kopalni i kolei mogą nie wytrzymać. Protesty związków zawodowych i masowe strajki to przecież druga strona medalu, to reszka, która może być górą. Tyśiące panów Couture zdają sobie z tego sprawę. I dlatego amerykańska czystka na kanadyjskim terenie nie przechodzi bez zgrzytów.

Nie bez zgrzytów też odbywa się próba obniżki zarobków kanadyjskich robotników przy pomocy importowania lumpenproletariatu z międzynarodowego targu niewolników, czyli z niemieckich obozów dla DP-sów. Przywieziono już tych „dipisów” kilkadziesiąt tysięcy. Pracują w lasach, u farmerów, przy budowie fabryk. Pracują — czasami — dwadzieścia jeden godzin, na dobę rekord chyba dotychczas nie pobity.

Praktyki, stosowane wobec „dipisów” przynoszą wprawdzie doraźne zyski poszczególnym przedsiębiorcom kanadyjskim, wywołują jednak równocześnie nienawiść i wzburzenie miejscowych robotników, zagrożonych utratą pracy, i wzbudzają bójki z przybyszami i... oskarżenia o komunizm. Raz po raz pojawiają się w prasie głosy, bojące w obronę „dipisów” przed zarzutami komunizmu. Pisze się, że są to przecież ludzie, którzy nie chcieli wracać do „żelaznej kurtyny”, że stracili oni tyle na skutek zmian zaszytych w ich krajach macierzystych, że „byłoby nonsensem posiadać ich o sympatie do systemu, który jest sprawcą ich obecnego lo-

su”. A jednak... jednak istnieje widocznie przyczyna, dla której trzeba to tłumaczyć. Nieludzka praca i okazywana przez pracodawców pogarda robią swoje, otwierają oczy najbardziej nawet zaślepionym. „Dipisi”, którzy przeszli za czasów niemieckich praktyczną lekcję nauki o podziale ludzkości na narod panów i narody niewolnicze spozstrzegli w Kanadzie, że... nie w naturze nie ginie.

Nic — nawet śmiech i zdziwienie Europejczyków, którym trudno uwierzyć, że kraj, którego roczny eksport idzie w miliardy dolarów, którego handel światowy zajmuje trzecie miejsce po Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii — nie ma ani jednego teatru. Stolica pięknej i fantastycznie bogatej Kanady, Ottawa, jest pod tym względem w położeniu gorszym niż Torun czy Olsztyn. Ale śmiech i zdziwienie nie giną w naturze. Ojcowie Ottawy rozpoczęli niedawno kampanię, mającą uczynić z Ottawy miasto, którego nie trzeba będzie się wstydzić wobec przybyszów z Europy i wobec wyspiarzy, którzy tu masowo zjadają na wypadek III wojny. Grają tu rolę zarówno ambicje zabezpieczenia parze królewskiej spokojnego miejsca pobytu na ten okres jak i chęć wzmocnienia wpływu angielskich w tym brytyjskim Dominium, w którym Angliki — dzięki polityce Bevin'a — znajdują może kiedyś przytułek i pracę w rządowych przedsiębiorstwach fabrycznych i kopalniach. Przy pomocy zmiany prawa o obywatelstwie brytyjskim, forsując ustawę, która zróznie dominia z Old England w odniesieniu do Korony, Bevin usiłuje zahamować proces, który swoją polityką sam przyspiesza. Dzięki nowej ustawie o obywatelstwie dominia będą miały prawo domagać się, żeby para królewska co roku spędzała pewien czas na ich terytorium. Z prawa tego chce skorzystać i Kanada, dlatego też jej stolica musi się na tę ewentualność odpowiednio przyszykować. Dyskutuje się budowę pałacu na rezydencję dla angielskiej pary królewskiej. Zbudować pałac to jednak za mało. Król i królowa muszą gdzieś wyjść czasami, pokazać się. Trzeba też stworzyć jakąś namiastkę kulturalnych rozrywek dla członków dworu, towarzyszących królówi. W tej atmosferze sprzyjającej kulturalnym poczynaniom powstał pierwszy teatr zawodowy w Ottawie. A powstał, jak powiadają, w sposób następujący.

Aktor angielski Hugh Parker, który spędził w Kanadzie dwa lata, wrócił po wojnie do Ottawy z zamiarem założenia teatru. O wydostaniu pieniędzy na ten cel od ojców miasta czy od rządu nie było mowy. Parker kupił za dolara sto pocztowych znaczków jednocentowych i wysłał sto listów do najznakomitszych obywateli miasta proponując im wykupienie abonamentu na sześć przedstawień w sezonie. Abonament miał kosztować sześć dolarów. W odpowiedzi na sto listów przyszedł... jeden czek na sześć dolarów. Parker kupił za sześć dolarów dalsze sześćset znaczków pocztowych i wysłał sześćset podobnych listów... i tak aż do skutku, aż do zebrania odpowiednich fundusów na pensję dla kilku aktorów, wynajęcie sali i koszty wystawy. W dniu premiery na sali było dwadzieścia jeden osób. Angliki są uparci a Hugh Parker jest prawdziwym Anglikiem. Wystawia już drugą z kolei sztukę na poziomie amatorskiego teatru w Kaliszu, łatwiej jednak dostać od kogoś dolara niż ściągnać nabywcę biletu na widowisko. Od kiedy sam gubernator Aleksander zaszczepił raz swoją obecnością teatr w Ottawie, wielu miejscowych obywateli poczuwa się do obowiązku popierania imprezy artystycznej p. Parkera. Dają więc dolary, żeby jednak mieli chociaż do teatru, tego przecież od nich wymagać nie należy.

W tym nie ma nic śmiesznego. Wyprzedzając Imperium Brytyjskie Amerykanom Bevin i Cripps czynią równocześnie rozpaczanie gesty ratowania resztek wspaniałej ogiś fortuny. A więc oprócz pomysłów podróźniczych w odniesieniu do pary królewskiej planuje się w Kanadzie budowę filii przedsiębiorstw angielskich. Rząd Kanady gotów jest poprzecić te akcje godząc się, żeby zamiast spłacać pożyczkę, zaciągniętą w 1942 roku, Anglia inwestowała uzyskane z eksportu dolary w przemysł kanadyjski. Nie tylko więc Churchill, Bevin, król i arystokracja ale i przemysł angielski myśli o przenosinach do Kanady. Są to sprawy, dużo poważniejsze od budowy teatru w Ottawie — choć ze sobą powiązane. Gesty te jednak nie zmieniają kanadyjskiej i angielskiej rzeczywistości. Im częściej król Jerzy będzie jeździł do Ottawy, tym bliżej będzie dzień, w którym — podobnie jak Unia Południowo-Afrykańska — Kanada wykmnie się całkowicie spod brytyjskiej kontroli. W amerykańskich bankach nie siedzą nawiynacy. Bevin, przeznaczając Wyspy Brytyjskie na wielki lotniskowiec dla Amerykanów nie uratuje za tę cenę wpływów angielskich w Kanadzie.

„Współpraca angielsko-amerykańska — mówił mi w barze na „Batorum” zalany już trochę Anglik — polega na ściślejszej wzajemności, tzn. że my im oddajemy Wyspy, a oni nam zato zabierają Kanadę”.

Kajetan Kotowicz

Książki • PAMIĘTNIKI

„STARE I NOWE”

Lucjana Rudnickiego

Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1948, str. 216.

Sąd konkursowy „Odrodzenia” zaliczył Lucjana Rudnickiego, autora pamiętników „Stare i nowe”, do czołowych prozaików na rok 1948. Jego pamiętnik, istotnie, wyróżnia się barwnością i celowości formą narracyjną. Trzeba pamiętać, iż Lucjan Rudnicki jest samoukiem. Nim zaczął pisać, pasł ojcowiską krowę w Sulejowie. Terminował u stolarza. Dopiero w Łodzi, pracując w Wilezkiej Manufakturze wśród towarzyszy - robotników, powoli wciągnął się w czytanie i stał się tym, kim jest dzisiaj — pisarzem. Takie broszury, jak „Ojciec Szymon”, „Czy teraz nie ma pańszczyzny”, „Manifest komunistyczny” wyprowadziły go z atmosfery małomiasteczkowej na szeroki świat idei socjalistycznej. Wspomnienia z Łodzi są najmocniejszą partią jego książki. Lucjan Rudnicki na stronkach tych utrwał jak żył wtedy robotnik, w jakich warunkach pracował, jak musiał walczyć, by zdobyć ośmiodziesięcioletni dzień pracy, ubezpieczenie społeczne i poszanowanie swoich ludzkich praw.

Galeria znajomych i przyjaciół z tych czasów zasługuje na baczną uwagę. Ileż tu talentów nie mogących się przejawiać w pełni wskutek braku najprymitywniejszych warunków bytowania! Każdego czytelnika musi zastanowić postać Leopolda Szuberta, obecnie kapelmistrza, „wilezskiego Leonarda da Vinci” Obyczajowa strona życia robotniczego należy również do dokumentów, które powinny zainteresować. Obyczaje bowiem są sprawą, zdawałoby się przez wszystkich znaną. Gdy jednak chodzi o prawdę — pomija się rzeczywistość na rzecz jakiegoś uproszczenia. Zdumiewający pęd do oświaty nie był tylko właściwością psychiczną Lucjana Rudnickiego. Gdy mieszkał u wujostwa, czytanie należało do normalnych potrzeb całej rodziny. A później na każdej nowej kwaterze (60 kopiełek miesięcznie za prawo rozłożenia siemnika na podłodze i przespanie) napotykał wciąż na ludzi rozmiłowanych w lekturze. Wzięcia — to też były uniwersytety dla Rudnickiego! Uczył się w zamknięciu od więziennych kolegów.

Przypomina on: „Na ówczesną dwustutysieczną Łódź była tylko jedna, na pół zakonspirowana czytelnia o charakterze oświatowym. Założył ją w r. 1899 dwójce młodych idealistów, małżonkowie Bronisław i Katarzyna Rogowscy”. Rudnicki czytelni tej zawdzięcza, iż mocno „stał na ziemi”. Do tychczas bowiem płaćtały się mu po głowie sulejowskie kanzania, wpływy babki Okrasinięjki, nawyki myślowe środowiska małomiasteczkowego. Rudnicki zapisał na wieczną rzeczcy pamiętkę: „Cholewiński, Łęcki, Grzelak, Mozdzeński... oto bohaterzy chorążowie zaszereżowani, dzielnicy wilezskiej w Łodzi przed pięćdziesięcioma latami. Z takimi towarzyszami można było rzucić nawet w piekło”.

Szczególnie Mozdzeński silnie oddział na mentalność autora pamiętników. „Stare i nowe” Lucjana Rudnickiego przypominają nam rzeczywistość polska na przestrzeni pięćdziesięciolecia od strony dotychczas mało uwzględnianej. Któż bowiem przeważnie pisywał pamiętniki? Robili to ludzie innych klas społecznych. Pamiętniki robotników i chłopów były wyjątkami.

„Stare i nowe” są takim wyjątkiem, godnym poznania przez bardziej ciekawą treść i żywą, płynną, barwną formę.

Eustachy Czekalski

Wrzesniowy (9) zeszyt „Twórczości”, który ukazał się już w sprzedaży, otwiera artykuł Kazimierza Wyki, poświęcony zagadnieniom stosunków intelektualistów do problemu przyszłości kultury, zagrożonej przez widmo trzeciej wojny.

W tym samym zeszycie znajdują czytelnicy świetne opowiadane Vercorsa pt. „Oręż nocy”. Jest to u nas beletrystyczny debiut tego popularnego już we Francji i za granicą pisarza.

Drugą interesującą pozycją są pełne finezji „poematy prozą” Maxa Jacoba, poprzedzone ciekawym wstępem i przetłumaczone przez Julię Hartwig.

Dalej zamieszcza „Twórczość” wspomnienie o laureacie pokojowej nagrody Nobla Carlu Ossietzkym, zmarłym w obozie hitlerowskim. Pisze o nim Edward Kantorowicz.

Dział poezji reprezentuje: Garcia Lorca i Tutzew.

K. W. Zawodziński poświęca li-ryczne rosyjskiej dłuższą rozprawę pt. „Poezja ludzka i wspaniała”.

Kazimierz Koźniewski analizuje osiągnięcia literatury sztuki i nauki na Ziemiach Odzyskanych w artykule pt. „Kultura Ziem Odzyskanych”.

Dalszą interesującą pozycją numeru jest wnikliwy artykuł o przekładzie i inscenizacji „Owczeg Zródła” pióra Tadeusza Peiper-a.

Notatnik muzyczny

Muzyka wrocławska

Intelektualiści są fatalną publicznością koncertową, gdy ich zgromadzi inna przyczyna niż muzyka. Pomijam już fakt, że wielu z nich sądziło, iż „Cathedrale Engloutie” Debussyego, to etiuda Chopina co, jako skalę pomyłki przyrównały można do pomylenia Kochanowskiego z Gałczyńskim. Późn ten snobizm u ludzi nie był jakieś miary, to udawanie, że się na wszystkim zna?

Było mi tak wstyd, że już począłem przyswajać rację poniektórym członkom tego wysokiego areopagu i godziłem się na to, że pianista czeski Józef Palenicek odegrał etiudę Chopina. Cóż, kongres to nie koncert. Poza tym, odegrała na wstępie, pod sztandarami czterdziestu narodów Apassionata Beethovena, walczyła namiętnie z ogólnym gwarem i podnieceniem tej pokojowej wieży Babel.

Muzyki nie zawiedli: Austrię reprezentował tam Hans Eisler, kompozytor i były profesor Uniwersytetu w Kalifornii, Brazylię Claudio Santoro, kompozytor, i Ana Stella Schic, pianistka. Bułgarię Christo Brambarow, artysta opery i Ljubomir Pipkow, kompozytor. Czesiosłowację Emil Burian, reżyser i muzyk oraz Józef Palenicek, pianista. Holandię Eberhard Rebling, muzykolog. Jugosławię Oscar Danon, dyrektor opery belgradzkiej. Polskę Ewa Bandrowska-Turska, Grzegorz Fiteberg i Andrzej Panufnik, których specjalności nie podaje, czytelnicy „Odrodzenia” zbyt dobrze ich znają. Portugalię Fernando Lopez Graca, kompozytor. Rumunię C. Bugaeanu, kompozytor i dyrygent. Węgry Pal Kadosa, kompozytor i Ferena Szabo, również kompozytor i profesor konserwatorium w Budapeszcie. Wielką Brytanię Rutland Boughton, kompozytor, J. Russel, dyrektor Filharmonii londyńskiej i B. Stevens, kompozytor. Wołochy Goffredo Petrassi i Gastone Rossi-Doria, muzykolog. Związek Radziecki Tichon Chrennikow, kompozytor i sekretarz Generalny Związku Kompozytorów ZSRR.

Obrazy kongresu, wypełniające bez reszty dni wrocławskie, nie pozwoliły na osobne zebranie muzyków — w innych galejach nauki czy sztuki zebranych takich ról, nie było urządzano. Ważniejsze były obrady ogólne, niż wylania nie poszczególnych grup zawodowych. Mimo to, na postawie osobistych kontaktów, odniosłem wrażenie, że artyści wszędzie ubiegają się o jasne sformułowanie społecznych i wychowawczo-ideowych zadań sztuki oraz nie uchylają się od stanowczego precyzowania swego politycznego oblicza. Jest to bodajże najciekawsza cecha atmosferycznych ciśnięć tego zjazdu, który pod wspólnym dachem zgromadził tyle wspaniałych nazwisk. Nauka i sztuka wyszła z izolowanych korym pracowni i zamkniętych kapliczek. Deptała bruk porytyego pociskami Wrocławia. Pokazała, że oddycha, jak oddycha cały świat.

Poezja — czysta poezja, czymże może być innym, niż wspólnym odechem ze światem, z którym musi żyć, kochać i cierpieć, — i muzyka od tego się nie uchyla. Już nie sposób wyobrazić sobie dziś rewolucjonistę Beethovena, który w cesarskim Wiedniu poświęcał swe dzieła arcyksiężu Rudolfowi. Skończyły się te romantyczne niekonsekwencje!

Apassionata, którą niedźwiedź nadreński zostawił na postach dla ludzi „o letnim sercu”, pochodzą z tych czasów, w których wystarczyło na znak protestu wymazać dedykację na III Symfonii, gdy pierwszy konsul ogłosił się cesarzem. Lecz bądźmy spokojni, że i dziś każdy, kto potrafi stworzyć dzieło o takim artystycznym ładunku, pozostawi ślad trwały, niezależnie od tego jakie „izmy”, do niego przychypimy. Jeśli bowiem eksperymenty nie będą nigdy czymś, co by miało „masowy zbył”, to przecież w atmosferze artystycznej wrocławskiego zjazdu, nikt nie negował konieczności pozostawienia artystom zupełnej swobody w poszukiwaniu własnego wyrazu.

Sprawy

Jerzy Szaniawski należy do zupełnie ginącej kategorii pisarzy. Tych mianowicie, którzy obrabiali dla siebie ustalony gatunek literacki, wyłącznie w nim się wypowiadali. W tym typie pisarza jest dzisiaj autor wszechstronny, szczególnie w takich rodzajach pisarstwa, jakie się łączą z codziennym i czasopiśmiennym kontaktem z czytelnikiem. Jeżeli poeta, to zarazem obserwator idei lub teoretyk waznego czy uznanego za wzór warsztatu. Jeżeli prozaik, to zarazem krytyk teatralny. Jeżeli prozaik, poeta i dramaturg, to jeszcze na dodatek epistolograf.

Macie trudności z podłożeniem nazwisk pod te zdaniasa — Miłosz, Kryzob, Breza, Jwaszkiewicz. Tylko krytycy są jakoś zacukani i nie śmieją sięgać po twórcze garnki, lepiące często przez majstrów o wiele od nich gorszych. I skromnie te garnki nabywcom zalecają.

W okresie Młodej Polski takich jak Szaniawski twórców było więcej. Wyspiański, Reymont, Berent, kiedy mieli coś do powiedzenia, nie pisywali artykułów, ale od razu dramaty i powieści. Dzisiaj jedynie Staff przypomina Szaniawskiego swoim obyczajem pisarskim. Dlatego to, kiedy pisarz podobnego gatunku przerwie swoje milczenie, ze wzmoczoną ciekawością sięgamy po jego tekst. Porównujemy, wazymy.

Malo kto zaś pamięta, że Jerzy Szaniawski w ostatnich miesiącach kilkakrotnie znalazł regule swojego zakonu literackiego. Uczynił to wazkże w piśmie, które poza Krakowem raczej jest mało znane, jako że tylko w Krakowie dogodlaczone jest do programu teatrów tego miasta: „Listy z Teatru” redagowane przez Wojciecha Natanson'a w sposób naprawdę żywy, interesujący i inteligentny. Ta dosyć osobliwa stronica, na jakiej przemówił wielki milczek naszego dramatu, i tematy przez niego poruszone — wszystko to daje ku temu prawo, by na artykuły Szaniawskiego szerzej zwrócić uwagę.

Oto one: „Kasa teatralna” („Listy z Teatru” 1916 nr 1), „Juliusz Ostent’a i pisarz polski” (1947 nr 14), „Perzyński — pisarz znakomity” (1948 nr 22) oraz przemówienie przy wręczeniu nagrody literackiej miastu Krakowa. (1947 nr 11). Niewątpliwie najciekawszy z tych artykułów to wypowiedź na temat Perzyńskiego, z dwóch zasadniczych powodów. Szaniawski podejmuje gorącą apologię twórczości autora „Szczęścia Franja”.

„Podczas wojny przeczytałem na nowo wielu pisarzy, którymi się zachwycałem, których nawet kochałem w młodości. Oni to wówczas gasili swą wspaniałą wielomównością i barwami Perzyńskiego, ze smutkiem podczas ponownego czytania stwierdziłem, że miłość moja dla wielu tych pisarzy „ochłodziła”. Perzyński, którego od młodości zacząłem cenić jednak wysoko, wcale się nie zmienił”.

Ja apologia dotyczy przede wszystkim Perzyńskiego jako dramaturga. O jego powieściach Szaniawskiego zdanie po-

bez reszty dni wrocławskie, nie pozwoliły na osobne zebranie muzyków — w innych galejach nauki czy sztuki zebranych takich ról, nie było urządzano. Ważniejsze były obrady ogólne, niż wylania nie poszczególnych grup zawodowych. Mimo to, na postawie osobistych kontaktów, odniosłem wrażenie, że artyści wszędzie ubiegają się o jasne sformułowanie społecznych i wychowawczo-ideowych zadań sztuki oraz nie uchylają się od stanowczego precyzowania swego politycznego oblicza. Jest to bodajże najciekawsza cecha atmosferycznych ciśnięć tego zjazdu, który pod wspólnym dachem zgromadził tyle wspaniałych nazwisk. Nauka i sztuka wyszła z izolowanych korym pracowni i zamkniętych kapliczek. Deptała bruk porytyego pociskami Wrocławia. Pokazała, że oddycha, jak oddycha cały świat.

Poezja — czysta poezja, czymże może być innym, niż wspólnym odechem ze światem, z którym musi żyć, kochać i cierpieć, — i muzyka od tego się nie uchyla. Już nie sposób wyobrazić sobie dziś rewolucjonistę Beethovena, który w cesarskim Wiedniu poświęcał swe dzieła arcyksiężu Rudolfowi. Skończyły się te romantyczne niekonsekwencje!

Apassionata, którą niedźwiedź nadreński zostawił na postach dla ludzi „o letnim sercu”, pochodzą z tych czasów, w których wystarczyło na znak protestu wymazać dedykację na III Symfonii, gdy pierwszy konsul ogłosił się cesarzem. Lecz bądźmy spokojni, że i dziś każdy, kto potrafi stworzyć dzieło o takim artystycznym ładunku, pozostawi ślad trwały, niezależnie od tego jakie „izmy”, do niego przychypimy. Jeśli bowiem eksperymenty nie będą nigdy czymś, co by miało „masowy zbył”, to przecież w atmosferze artystycznej wrocławskiego zjazdu, nikt nie negował konieczności pozostawienia artystom zupełnej swobody w poszukiwaniu własnego wyrazu.

O kim to mowa, czyje sztuki tak właśnie grać należy?

„Czy był pisarzem wielkim? Nie wiem. Usnął się od wielkich, stał na uboczu. Więc nie należy go z innymi przynierzać. Nie podwyższał się na ukrytych szczudłach. Nie stał między „nauczycielami narodu”, może dlatego, iż nie sądził, że jak już pisarz, to posiadał wszystkie rozumy i wie napełnu, jak powinno być na świecie. I nie był gościem w gospodarze „Pod wielkim Kaboutnem”, w której lubią przepytywać — jak twierdzą złośliwi — i nubiętki w narodzie, a więc i pisarze. Był zawsze sam”.

Któż to był podobnie sam i jest nim nadal w naszym dramacie, chociaż twierdzi, że znalazł samotnika podobnego sobie, że o nim jedynie mówi? Gdyby Szaniawski nie był autorem tych ustępów, tylko do niego mogłyby się one odnosić. I napełnu w kształcie niezamierzonoż wyznania jego również dotyczą i jego określają.

Wojciechowi Natansonowi będzie na pewno poczytane pomiędzy zasługi i zmanane zostaną nieliczne winy tego naiłagodniejszego z krytyków, że tak umiejętnie wprowadził Szaniawskiego do konfesjonali, którego kralka zowie się „Listy z teatru”.

Apologia Perzyńskiego-dramaturga niepoświędzenie przemienia się u Szaniawskiego w wyznanie, w mimowolną opowieść o własnej sztuce dramatycznej, o własnym ujściu miejsca pisarza w społeczeństwie. Darujcie, ale muszą cytować, i to długo cytować. Wierszówka za cytaty niech idzie na odbudowę Warszawy.

„Teatr wzbogaca, nadaje barw, ożywia, wielu pisarzy czeka na to ożywienie, technika pisarska ich tekstów ledy nie w właściwości teatru. Niektórym jednak autorom nadmiar tego, co może dać teatr, nie pomaga. Jest to sprawa gatunku pisarskiego. Perzyński — widzę go zawsze jako rysownika między malarza-

iwj

W trzecim dniu kongresu odbył się we wrocławskim studio Polskiego Radia koncert katowickiej orkiestry PR pod batutą Witolda Rowickiego. Program był dobrze dla cudzoziemców wybrany: uroczysta uwertura „Flis” Morzuszki, IV Symfonia Szymanowskiego, w której partię fortepianową wykonał znakomicie Jan Ekier (któs słusznie zauważył, że Szymanowski nie słyszał nigdy tak dobrze wykonanej IV Symfonii!), „Stanisław i Anna Oświęcimowie” Karłowicza i „Uwertura tragiczna” Panufnika. Ten przekrój polskiej twórczości muzycznej ostatnich 80-ciu lat był wspaniale podany. Warszawa ocenić to mogła na trzech koncertach w „Romie”, z których ostatni ma miejsce w chwili składania niniejszego numeru. Fiteberg i Rowicki przy pulpicie i Ekier w tej samej IV Symfonii Szymanowskiego, z tą najlepszą naszą orkiestrą, to trzy imprezy, które stolica oceanu należycie: dowodem tego jest, że publiczność zamiast jak zwykle śpieszyć się po płaszcze, nie chciała opuścić sali i długo stała robiąc owacje. Warto podkreślić ten fakt, niezwykły dla stałego koncertowego bywalca. Słuchacze oceniali jakość towaru, który im się podaje!

Niezmordowany Grzegorz Fiteberg dyrygował symfonią Lutostawskiego, o której już na tym miejscu pisałem. Mimo woli nasuwa się zestawienie jej z „metodyczną”, jednoczęściową uwerturą Panufnika, którą dał nam Rowicki. Wszystko tak inne w obu tych dziełach, powstałych w ostatnich czasach. Dwie indywidualności i dwa zupełnie różne światy muzyczne.

W ramach tego notatnika jeszcze nieraz przyjdzie nam zetknąć się z sylwetkami tych kompozytorów, odkładam więc na później ich omówienie, składając tymczasem entuzjastyczny hold pod adresem Orkiestry Polskiego Radia, jej dyrygentów i Jana Ekiera, wykonawcy „czwartej”.

Zygmunt Mycielski

Konfesjonał Szaniawskiego

Papier i ołówek to nie to samo co płótno i olej. Dziecko, gdy dostanie pudelko z farbami, a ma pod ręką starą książkę, gdzie są drzeworyty, chce je wypełnić kolorami, dziwi się ono, że „starsi” wcale tym pomysłem nie są zachwyceni i zabierają mu książkę. „Starsi” mają rację: dziecko popsuło by kolorami urok starego drzeworytu, wypylający już z samego „gatunku”. I Teatr Perzyńskiego nie lubi takich domalowań. Zdać mi się, że te utwory zyskałyby w jakimś teatrze „literackim”, bliższym estrady lub sceny, gdzie dyskretni aktorzy z typu intelektualistów staraliby się głównie o to, aby jak najlepiej podać słowo, zawierając w swoim tonie i rysunek postaci i dowcip często bardzo delikatny, bardzo ciekawy”.

O kim to mowa, czyje sztuki tak właśnie grać należy?

„Czy był pisarzem wielkim? Nie wiem. Usnął się od wielkich, stał na uboczu. Więc nie należy go z innymi przynierzać. Nie podwyższał się na ukrytych szczudłach. Nie stał między „nauczycielami narodu”, może dlatego, iż nie sądził, że jak już pisarz, to posiadał wszystkie rozumy i wie napełnu, jak powinno być na świecie. I nie był gościem w gospodarze „Pod wielkim Kaboutnem”, w której lubią przepytywać — jak twierdzą złośliwi — i nubiętki w narodzie, a więc i pisarze. Był zawsze sam”.

Któż to był podobnie sam i jest nim nadal w naszym dramacie, chociaż twierdzi, że znalazł samotnika podobnego sobie, że o nim jedynie mówi? Gdyby Szaniawski nie był autorem tych ustępów, tylko do niego mogłyby się one odnosić. I napełnu w kształcie niezamierzonoż wyznania jego również dotyczą i jego określają.

Wojciechowi Natansonowi będzie na pewno poczytane pomiędzy zasługi i zmanane zostaną nieliczne winy tego naiłagodniejszego z krytyków, że tak umiejętnie wprowadził Szaniawskiego do konfesjonali, którego kralka zowie się „Listy z teatru”.

iwj

Mycielski: Notatnik muzyczny: „Muzyka polska” prof. Jachimieckiego. — Książki: „Prawo norwiderskie — bilans i perspektywy” Tadeusza Cypriana i Jerzego Sawickiego; Proza autentyczna: („Moja walka o życie” — Krystyny Nowakowskiej); Biografia: („Feliks Dzierżyński — Jego życie, praca, walka” — Tadeusza Daniszewskiego). — Jerzy Piławski: „Zielone lata” — film amerykański. — „Okoliczności łagodzące” — film francuski. — Korespondencja: Maja rzecz a wstyd duży; Sprostowanie — Teatr Dolnośląski. — Zygmunt Kalużyński: Drobiazgi francuskie. Duke Ellington w Paryżu; Sukces groteski „Branquignol”, czyli „A l'americaine”. — Camera obscura. — 24 ilustracje. — 8 stron.

MILASZEWSKI STANISŁAW „PIEKNE POLKI” 1 egzemplarz kupie. Zgłoszenia „PAR” Kraków, Rynek Główny 46, ul. „ERES”

